SMUTNA KSIĄŻKA

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

Leonidas Andrejew

SMUTNA KSIĄŻKA

Tłómaczyła z rosyjskiego
IDALIA BADOWSKA

Warszawa 1906 - Jan Fiszer

* * *

Leonidas Andrejew jest to taki młody człowiek, który albo pisze bardzo ładne i bardzo smutne książki, albo na kilka miesięcy ginie gdzieś w stepach południowej Rosyi — idzie na tułaczkę z włóczęgami i pije: w pierwszym wypadku wznosząc się wysoko ponad prawa ludzi a nawet dyktując im swoje credo; w drugim spadając tak nizko, że jest już poza wszystkiem co obowiązuje albo zastrasza — a więc i w pierwszym i w drugim wypadku panując nad ludźmi i życiem.

Nie napisał dotąd żadnej trylogii ani nawet tomowej powieści, tylko kilkanaście niedużych opowiadań; a jednak jest z tych niewielu wybranych, co to umieją patrzeć do duszy ludzkiej, nie zaglądać — patrzeć, i których nie odstrasza i nie zniechęca nic, cokol-

wiek tam ujrzą — ani obłąkańczy, czerwony śmiech, rozpalonymi kajdanami skuwający myśl — ani śmiertelne przerażenie jasnego ducha, zbratanego z powietrzem i słońcem, kiedy swe piękne, jak ostra stal zimne oczy zwróci na niego zawsze nieprzebłagane, zawsze królewsko-obojętne Życie — ani despotyczny ludzki krzyk, co idzie budzić milczenie mogiły: powiedz mi swoją prawdę! — ani ta krew serdeczna, kropla po kropli płynąca z duszy, kropla po kropli — wolniutko, miarowo, aż do końca — ani mądre, duże oczy dziecka, kochającego swoją królewnę z bajki, o którego silną, młodą przyszłość bój toczą starzy, złamani, zgnieceni życiem — ani, co najważniejsze i dla twórczości rosyjskiej zawsze charakterystyczne: smutna, szara pospolitość dusz, których życie płynie, jak mętny, ciasny strumień, które nie znają nic, prócz pokornego zatopienia swego ja w innem — wielkiem, pięknem, rozkazującem; i które jednak mają taką chwilę, kiedy przerastają wszystko,

co jest najwyższego na ziemi — jedną piękną chwilę w życiu — ostatnią...

Andrejew pochodzi z kraju, który był ojczyzną Dostojewskiego. Interesuje go przedewszystkiem człowiek, dusza ludzka, a wszystko inne, to jest życie, o tyle tylko, o ile przychodzi w łańcuchy swe zakuć ją wolną, lub strącić w otchłań ogniem ziejącą, skąd nie powróci już nigdy swobodna, szczęśliwa i silna.

I oto powstają książki — nie te głębokie, spokojne i mądre, jak ciche spojrzenie starej ksieni, zapatrzonej w wieczorne promienie słoneczne, złocące stopy Ukrzyżowanego; i nie te delikatne, pieszczące, jak biały płatek kwiatu, pocałowany ustami dziecka — ale te, co łzami i bólem ściskają gardło; i te, co pędzą myśl w jakąś nieznaną, ciemną dal, odsłaniając po drodze przelotnie czarne przykrycie trumny, samotnie kołyszącej się na tragach, i szlachetny profil zadumanego nad niedolą ludzką anioła, w którego pierś natura, obłąkańczo

rozrzucająca swe skarby, włożyła przewrotne, kłamliwe serce kobiety.

Andrejewa tłómaczą u nas ciągle i niema chyba rzeczy nie tłómaczonej — dlatego wybór jest trudny. W tym zbiorku starałam się nie powtórzyć przynajmniej tego, co już kiedykolwiek wyszło w książkowych wydaniach.

* * *

OTCHŁAŃ

I.

Powoli gaśnie dzień, a oni idą ciągle, nie widząc drogi, nie myśląc o czasie. Przed nimi na szerokiem wzgórzu ciemną plamą znaczy się las, a przez gałęzie drzew niby czerwony, rozpalony węgiel bucha słońce, zapala powietrze i zamienia je całe w ognisty, złoty pył.

Takie blizkie i takie jasne to słońce, że wszystko dokoła niknie prawie, a ono samo zostaje, wyzłaca i wyrównywa drogę. Oczy idących nie mogą już znieść, bolą, muszą zawrócić, i oto naraz wszystko gaśnie przed nimi, staje się spokojnem i prostem, małem i wyraźnem. Gdzieś daleko, o wiorstę albo więcej, czerwony zachód ogarnął wysoki pień sosny, który palił się teraz wśród zieleni, jak świeca w ciemnym pokoju; purpurową za-

dymką pokryła się droga, a każdy kamień na niej rzucał długi, czarny cień i złocisto-czerwoną aureolą rozjaśniały włosy dziewczęcia, prześwietlone promieniami słońca. Jeden cieniutki loczek oddzielił się od innych i zwijał się i kołysał w powietrzu, jak złota pajęczynka. I to, że nagle cienie pobiegły przed nimi, nie zmieniło i nie przerwało ich rozmowy. Tak samo jasna, serdeczna i cicha płynęła spokojnym potokiem, a obejmowała ciągle to samo: siłę, piękno i nieśmiertelność miłości. Oboje byli młodzi: dziewczyna miała ledwie siedemnaście, Niemowiecki o cztery lata starszy; oboje w mundurkach studenckich: ona w skromnej bronzowej sukni gimnazistki, on w pięknym uniformie studenta-technologa. I nietylko rozmowa, ale wszystko w nich było młode, piękne i czyste: wysmukłe, zgrabne postacie niby przeszyte powietrzem i pokrewne mu, lekkie, wdzięczne ruchy i świeże głosy, nawet w prostych słowach brzmiące cichą tkliwością, tak jak szemrze strumień

w jasną noc wiosenną, kiedy śnieg nie zupełnie jeszcze stopniał na polach.

Szli ciągle w tym kierunku, w jakim szła nieznana droga; skręcali tam, gdzie skręcała ona; i dwa długie, stopniowo zwężające się cienie, śmieszne ze swemi malutkiemi główkami, to każdy z osobna sunęły naprzód, to znowu z boku zlewały się w jedną wązką, długą, jak cień topoli, smugę. Ale oni nie widzieli cieniów — mówili, i mówiąc on nie odrywał oczu od jej ładnej twarzy, na której różowy zachód, zdawało się, zostawił część swych delikatnych kolorów; a ona miała oczy spuszczone w dół, usuwała parasolką malutkie kamyki na drodze i zdawała się śledzić jak z pod ciemnej sukienki w równych odstępach wysuwał się to jeden to drugi koniec maleńkich trzewików.

Drogę przecinał rów z piaszczystymi, zarwanymi od chodzenia brzegami, i zatrzymał ich na chwilę. Zinoczka podniosła głowę, pobiegła dokoła zamglonym wzrokiem i spytała:

— Pan wie, gdzie jesteśmy? — nie byłam tu ani razu.

Nieuważnie, z roztargnieniem obejrzał miejscowość.

— Tak, wiem. Tam, za tym wzgórkiem, miasto. Proszę mi dać rękę, pomogę pani.

Wyciągnął swoją, niespracowaną, cienką i białą jak u kobiety. Zinoczce było wesoło, chciała sama przeskoczyć przez rów, pobiedz, krzyknąć »ścigaj« — ale zapanowała nad tem, lekko, z dostojną wdzięcznością pochyliła głowę i trochę nieśmiało wyciągnęła rękę, zachowującą jeszcze delikatną, dziecięcą pulchność. A on chciał mocno, aż do bólu ścisnąć tę drżącą rączkę, ale tak samo zapanował nad tem, z rycerskim ukłonem przyjął jej dłoń i skromnie się odwrócił, kiedy przy wchodzeniu noga dziewczęcia trochę więcej wychyliła się z pod sukni.

I znowu szli i mówili, ale myśli ich pełne były wrażenia na chwilę zbliżonych rąk. Ona czuła jeszcze jego dłoń suchą, rozpaloną

i mocne dotknięcie palców; przyjemnie jej było i trochę wstyd; a on pamiętał pokorną miękkość tej maluchnej rączki i widział czarną sylwetę nogi i mały pantofelek, naiwnie a tkliwie obejmujący ją. I było coś ostrego, niepokojącego w tem niezatartem wrażeniu wązkiego rąbka białych spódniczek i smukłej nogi — ale nieświadomym wysiłkiem woli zgasił to w sobie. Wtedy zrobiło mu się radośnie, a serce tak szeroko i swobodnie uderzało w piersi, że chciało się śpiewać, wyciągać ramiona ku niebu i wołać: »uciekaj, będę cię gonił«, tę starożytną formułę pierwotnej miłości wśród lasów i grzmiących wodospadów.

I wszystkie te pragnienia łzami ściskały gardło.

Długie, ciemne cienie zginęły, a kurz przydrożny stał się szarym i zimnym, ale oni nie uważali na to — rozmawiali. Oboje czytali dużo dobrych książek i jasne obrazy ludzi, co kochali, cierpieli i ginęli za czystą miłość,

przesuwały się przed ich oczami. W pamięci poczęły się budzić urywki niewiadomo kiedy czytanych wierszy, które tak umiały przystroić miłość w piękną szatę dźwięcznej harmonii i słodkiej tęsknoty.

— Nie pamięta pani skąd to? — pytał Niemowiecki: »I znowu ze mną ta ukochana, droga, przed którą kryłem ja, nie mówiąc ani słowa, całą tęsknotę, całą słodycz, całą miłość moją«.

— Nie, — odpowiedziała Zinoczka i zadumana powtórzyła: »całą tęsknotę, całą słodycz, całą miłość moją«.

— Całą miłość moją — jak echo odezwał się Niemowiecki.

I znowu długą, obrazów pełną wstęgą popłynęły wspomnienia. Przypominali sobie te czyste, jak białe lilie dziewczęta, wkładające czarne suknie zakonne, samotnie tęskniące w parku, zasypanym liściem jesiennym, szczęśliwe w swojem nieszczęściu; przypominali i mężczyzn dumnych, silnych ale cierpiących...

i z tą wieczną prośbą w sercu o miłość, o tkliwe współczucie kobiece. Smutne były te wywołane obrazy, ale w ich smutku rozjaśnioną i czystszą wstawała miłość. Potężną jak świat, jasną jak słońce i dziwnie piękną wyrastała przed ich oczyma, i nie było nic mocniejszego nad nią, ani piękniejszego.

— Mógłbyś pan umrzeć za tego, kogo kochasz? — zapytała Zinoczka, patrząc na swą dziecinną rączkę.

— Tak, mógłbym — stanowczo odpowiedział Niemowiecki, śmiało i szczerze patrząc jej w oczy.

— A pani?

— Tak, i ja też — zamyśliła się — przecież to takie szczęście umrzeć za ukochanego... Tak, bardzo bym chciała.

Oczy ich spotkały się jasne, spokojne i coś dobrego powiedziały sobie, a usta rozjaśniały uśmiechem. Zinoczka stanęła.

— Przepraszam, pan ma nitkę na surdu-

cie — przyjaźnie podniosła rękę do ramienia chłopaka i ostrożnie dwoma palcami zdjęła nitkę.

— Już — i nagle bardzo poważnie pytała: Dlaczego pan taki blady, mizerny? pan dużo pracuje, tak? Nie trzeba się przepracowywać, nie trzeba.

— Pani ma zupełnie błękitne oczy, a w nich małe światełka jak iskierki — odpowiedział on, ciągle patrząc jej w oczy.

— A pan ma czarne. Nie, piwne, ciepłe... I w nich...

Zinoczka nie skończyła co w nich, i znowu spuściła głowę. Twarzyczka jej zaczerwieniła się powoli, w oczach błysnęło zakłopotanie i nieśmiałość, a usta uśmiechnęły się bezwiednie. Poszła naprzód, nie czekając na uśmiechniętego i jakoś bardzo zadowolonego Niemowieckiego, ale zaraz stanęła:

— Widzi pan, słońce zaszło — woła ze smutnem zdziwieniem.

— Tak, zaszło, — odpowiada on z tym samym ostrym, nagłym smutkiem.

Światło zgasło, cienie umarły i wszystko dokoła stało się blade, nieme i martwe. Stamtąd, gdzie niedawno jeszcze promieniało rozpalone słońce, niepostrzeżenie wypełzały do góry ciemne masy obłoków i stopniowo pochłaniały jasną, błękitną przestrzeń. Chmury skłębiały się i rozchodziły powoli i ociężale zmieniały rysunek przebudzonych potworów, niechętnie posuwając się naprzód, jak gdyby je same wbrew woli gnała jakaś nieubłagana, straszna siła. Oderwany od innych samotnie pędził jasny, pierzasty obłoczek, słaby i zalękniony.

II.

Zinoczka zbladła, usta jej stały się czerwone, prawie krwawe, rozszerzona źrenica przyćmiła oczy.

— Boję się — szepnęła. — Tu tak cicho. Zabłądziliśmy chyba?

Niemowiecki ściągnął gęste brwi i badawczo obejrzał miejscowość.

Bez słońca, owiana świeżem tchnieniem zbliżającej się nocy, zdawała się nieprzychylną i zimną; dokoła szare pole pokryte niziutką, niby stratowaną trawą, piaszczystymi pagórkami i dołami. Dołów dużo — głębokich, stromych i małych, porastających trawą. W nich już się cicho ułożyła na noc milcząca ciemność, i to, że tu byli ludzie, robili coś, a teraz ich niema, nadawało tej miejscowości jeszcze więcej smutku i osamotnienia. Tu i tam, niby zwarte masy liliowej, zimnej mgły, podnosiły się gaje i laski i zdawały się wyczekiwać, co im powiedzą opuszczone doły. Niemowiecki stłumił ogarniające go niewyraźne, ciężkie uczucie trwogi i powiedział:

— Nie, idziemy dobrze. Znam drogę. Z początku polem, potem przez ten lasek. Pani się boi?

Uśmiechnęła się odważnie.

— Nie. Teraz już nie. Ale trzeba prędzej do domu — na herbatę.

Ruszyli naprzód pośpiesznie i stanowczo,

ale już po chwili zwolnili kroku. Nie rozglądali się dokoła, ale czuli tę wrogą ponurość pooranego pola, otaczającego ich tysiącem mętnych, nieruchomych oczu, i to uczucie zbliżało ich i znowu pogrążało we wspomnienia dzieciństwa. Wspomnienia były jasne, prześwietlone słońcem, majową zielenią, miłością i śmiechem. Niby nie życie, tylko szeroka, miękka pieśń, a dźwiękami w niej oni sami — dwa tony, jeden dźwięczny i czysty, jak rozśpiewany kryształ, drugi trochę wyższy, jaskrawy — jak srebrny dzwonek.

Zaczynali spotykać ludzi — dwie kobiety na brzegu głębokiego gliniastego dołu; jedna siedziała, założywszy nogę na nogę, i badawczo patrzyła w dół; chustka na głowie zsunęła się, odkrywając kosmyki splątanych włosów; zaokrąglone plecy podciągnęły do góry brudny kaftanik z dużymi jak jabłka kwiatami i rozluźnioną tasiemką w pasku. Nie spojrzała na przechodzących. Druga kobieta leżała koło niej z odrzuconą głową. Twarz jej była gruba,

szeroka, o męskich rysach, a pod oczami paliły się dwie czerwone ceglaste plamy, jak gdyby kto dopiero co skórę zdarł w tem miejscu. Brudniejszą była niż pierwsza i patrzyła na idących prosto i śmiało. A kiedy przeszli, zaśpiewała nizkim męskim głosem:

I dla ciebie jedynie kochanku,
Jak pachnący rozwijam się kwiat...

— Warka, słyszysz? — zwróciła się do milczącej towarzyszki, a nie dostając odpowiedzi, zaczęła się śmiać głośno i ordynarnie.

Niemowiecki znał takie kobiety, brudne nawet wtedy, kiedy ubrane były w bogate i piękne suknie; przyzwyczaił się do nich, i teraz te dwie prześlizgnęły się po jego spojrzeniu i zginęły, nie zostawiając śladu. Ale Zinoczka dotknęła ich prawie swą bronzową, skromną sukienką i poczuła, że coś wrogiego, marnego, a złego na chwilę zakradło się do jej duszy; ale po kilku minutach wrażenie musiało się zatrzeć, jak cień obłoku, bystro

biegnący po złocistej łące, i kiedy koło nich, mijając, przeszli dwoje, mężczyzna w czapce i marynarce ale boso i taka sama brudna kobieta, widziała ich, ale nie czuła już nic. Nie zdając sobie sprawy, długo śledziła kobietę i dziwiło ją trochę, dlaczego tamta ma taką cienką suknię, tak ciasno, niby mokra, obejmującą jej nogi, a u dołu szeroki pas tłustego błota, które się zrosło ze spódnicą na zawsze. Coś trwożliwego, chorego, strasznie beznadziejnego było w chybotaniu tej cienkiej, brudnej spódnicy.

I znowu szli i mówili, a za nimi sunęła niechętnie ciemna chmura i rzucała przezroczysty, ostrożnie obejmujący ziemię, cień. Na rozdętych bokach chmury niejasno rysowały się żółte miedziane plamy, a potem jaśniejszemi skłębionemi smugami uciekały pod jej ciężką masę. Ciemność zakradała się nieznacznie, że trudno było wierzyć w nią i mogło się zdawać, że to ciągle jeszcze dzień, ale dzień ciężko chory i umierający. Teraz

mówili o tych strasznych uczuciach i myślach, które opanowują człowieka w nocy, kiedy on nie śpi, a żaden dźwięk, żadne słowo nie przeszkadza im, i kiedy ten, jak ciemność szeroki i tysiącem źrenic patrzący »potwór-życie« mocno przyciska się do samej twarzy.

— Może pan sobie wyobrazić nieskończoność? — zapytała Zinoczka, kładąc na czole swą pulchną rączkę i mrużąc oczy.

— Nie. Nieskończoność... Nie — odpowiedział Niemowiecki, tak samo mrużąc oczy.

— A ja widzę ją czasem. Pierwszy raz zobaczyłam, jak byłam jeszcze całkiem mała. To — niby wozy. Stoi jeden wóz, drugi, trzeci i tak daleko, bez końca, wszystko wozy, wozy... skrzypiące, ciężkie. Straszne — drgnęła.

— Ale dlaczegóż wozy? — uśmiechnął się Niemowiecki, chociaż i jemu było przykro.

— Nie wiem. Wozy. Jeden, drugi... bez końca.

Ciemność gęstniała podstępnie, a chmura przeszła już nad ich głowami i teraz zaglą-

dała w pobladłe, pochylone twarze. I coraz częściej wyrastały ciemne sylwety obdartych, brudnych kobiet, jak gdyby wyrzucały je na powierzchnię te głębokie, nie wiadomo poco wykopane doły, i trwożliwie chybotały się ich mokre spódnice.

To jedna, to po dwie, po trzy razem zjawiały się one, a głosy ich brzmiały donośnie i dziwnie samotnie w zamarłem powietrzu.

— Kto są te kobiety? skąd ich tyle? — pytała Zinoczka nieśmiało i cicho.

Niemowiecki wiedział kto te kobiety, i zrobiło mu się straszno, że trafili do takiej złej, niebezpiecznej dzielnicy, ale odpowiedział spokojnie:

— Nie wiem. Takie sobie. Nie trzeba mówić o nich. Zaraz przejdziemy ten lasek, a tam już będą rogatki i miasto. Szkoda, że wyszliśmy tak późno.

Jej wydało się śmiesznem, że mówił późno, kiedy właściwie wyszli o czwartej, i spojrzała na niego z uśmiechem. Ale miał ciągle ścią-

gnięte brwi, więc zaproponowała, jakby chcąc pocieszyć, uspokoić:

— Chodźmy prędzej. Chce mi się herbaty. I las już blizko.

— Chodźmy.

Kiedy weszli do lasu, i nad ich głowami tajemniczo zwarły się konary drzew, zrobiło się bardzo ciemno, ale spokojnie, swojsko.

— Czy mogę służyć pani ramieniem — zaproponował Niemowiecki.

Z pewnem wahaniem podała rękę, ale lekkie dotknięcie, zdawało się, od razu rozproszyło ciemność. Ramiona ich nie poruszyły się wcale, nie przylgnęły ku sobie, Zinoczka się nawet odsunęła twarzą od swego towarzysza, a jednak cała świadomość, ich całe czucie skupiły się teraz tylko na tej małej cząstce ciała, gdzie łączyły się ich ręce. I znowu chciało im się mówić o pięknie i tajemniczej sile miłości, ale mówić tak, żeby nie przerywać milczenia, mówić nie słowami, a spoj-

rzeniem tylko. I myśleli, że trzeba spojrzeć, i chcieli, ale nie mogli się odważyć.

— A oto znowu ludzie! — wesoło zawołała Zinoczka.

III.

Na polance, gdzie było jaśniej, siedziało koło wypróżnionej butelki trzech mężczyzn, którzy milcząc, wyczekująco patrzyli na podchodzących. Jeden, wygolony jak aktor, zaśmiał się i gwizdnął tak, że to miało oznaczać:

— O-ho!

Serce w Niemowieckim zamarło w strasznej trwodze, ale niby popychany z tyłu szedł prosto na siedzących, koło których właśnie przechodziła ścieżka. Tamci czekali i trzy pary oczu ciemniały nieruchomo i strasznie. I nieświadomie, chcąc dobrze usposobić do siebie tych ponurych, obdartych ludzi, w milczeniu których czuć było groźbę, zaświadczyć im swoją bezradność i wzbudzić współczucie, zapytał:

— Kędy tu przejść do rogatek? czy tędy?

Nie odpowiedzieli. Wygolony gwizdnął coś nieokreślonego i drwiącego, a tamci dwaj milczeli i patrzyli tylko z ciężką, złowrogą badawczością. Byli pijani, źli i chciało im się miłości i zniszczenia. Czerwony na twarzy, spuchnięty, podniósł się na łokciach, potem niezdecydowanie, jak niedźwiedź, oparł się na łapy i wstał, westchnąwszy ciężko. Towarzysze przelotnie spojrzeli na niego i znowu z tą samą badawczością wpili swe ślepia w Zinoczkę.

— Boję się — prawie nie poruszając ustami, powiedziała ona.

Nie słysząc słów, Niemowiecki zrozumiał, czując tylko ciężar jej bezwładnie opadającej ręki. I, starając się zachować spokój, ale przeczuwając całą fatalną niezmienność tego, co tu się zaraz stanie, stąpał równo i mocno. I trzy pary oczu zbliżyły się, błysnęły i zostały za nimi, »Trzeba uciekać, pomyślał Nie-

mowiecki, i sam odpowiedział sobie: »nie, nie, nie można uciec«.

— Et, całkiem zdechły chłopaczek, aż przykro — powiedział trzeci z siedzących, łysy, z rzadką rudą brodą. A dziewczynka ładna — daj Boże każdemu.

Wszyscy trzej zaśmiali się, ale jakoś niechętnie.

— Panie! Zaczekaj pan, parę słów — basem powiedział wysoki i spojrzał na towarzyszy. Tamci podnieśli się.

Niemowiecki szedł.

— Trzeba zaczekać, kiedy proszą — powiedział rudy. Bo czasem i po pysku oberwać można.

— Do ciebie mówią — wrzasnął wysoki i we dwa skoki dopędził idących. Potężna ręka opadła na ramię Niemowieckiego i przechyliła go tak, że koło samej twarzy swej spotkał okrągłe, wypukłe i straszne oczy. Były tak blizko, jak gdyby oglądał je przez szkło powiększające i jasno rozróżniał czer-

wone żyłki na rogówce i żółtawą ropę na rzęsach. Puścił zmartwiałą rękę Zinoczki i sięgnął do kieszeni, mrucząc:

— Pieniędzy! Macie pieniądze. Dam z największą przyjemnością.

Wypukłe oczy zaokrąglały się coraz więcej. I kiedy Niemowiecki oderwał od nich swoje, wysoki cofnął się trochę w tył i, nie odsadzając się, z dołu uderzył Niemowieckiego pod brodę. Tamtemu przechyliła się głowa, zęby stuknęły, czapka zsunęła się na czoło i spadła i machnąwszy rękami upadł na wznak. Milcząc, bez krzyku zawróciła Zinoczka i poczęła uciekać, odrazu używając całej szybkości, na jaką była zdolna. Wygolony krzyknął przeciągle i dziwnie:

— A-a-a...

I z tym krzykiem popędził za nią.

Niemowiecki skoczył, zataczając się, ale nie zdążył jeszcze się wyprostować, kiedy znowu został obalony uderzeniem w głowę. Tamtych było dwóch, a on sam, słaby i nie-

przyzwyczajony do walki, a jednak walczył długo, drapał paznokciami, jak broniąca się kobieta, szlochał w bezsilnej rozpaczy i gryzł. Kiedy już osłabł zupełnie, podjęli go i ponieśli; opierał się, ale w głowie szumiało, przestawał rozumieć, co się z nim dzieje, i bezsilny zawisł na ręku niosących. Ostatnie, co jeszcze zobaczył, był kawałek rudej brody, prawie dotykającej jego ust, za nią czarna otchłań lasu i jasne włosy uciekającej dziewczyny. Biegła milcząc i prędko, tak jak biegała parę dni temu, kiedy bawiono się »w sąsiada«, a za nią drobnymi kroczkami doganiając już leciał golony; potem Niemowiecki uczuł jakąś pustkę dokoła siebie, z zamierającem sercem poleciał gdzieś na dół, całem ciałem uderzając o ziemię, i stracił przytomność.

Wysoki i rudy rzucili Niemowieckiego do rowu, postali jeszcze trochę, nasłuchując co się dzieje na dnie rowu, ale twarze ich i oczy zwrócone były w tę stronę, gdzie została

Zinoczka. Stamtąd doleciał rozpaczliwy, przytłumiony kobiecy jęk i natychmiast zamarł. A wysoki zawołał gniewnie:

— Łotr, bestya — i poleciał naprzełaj, łamiąc gałęzie jak niedźwiedź.

— I ja! I ja! cieniutkim głosikiem krzyczał rudy, pędząc w ślad za nim. Był słabowity i już się bardzo zasapał; w walce stłukli mu kolano i przykro mu było, że myśl o dziewczynie przyszła mu pierwszemu do głowy, a teraz dostanie ją ostatni. Zatrzymał się, pogładził ręką kolano, wytarł nos palcami, strzepnął i znowu pobiegł, wołając żałośnie:

— I ja! I ja!

Ciemna chmura rozlazła się już po całem niebie i stała się noc cicha i czarna. W ciemności zginęła wkrótce nizka figurka rudego, ale długo jeszcze słychać było nierówny tętent jego nóg, szmer rozsuwanych liści i drżący, żałośny krzyk:

— I ja! Chłopcy, i ja!

IV.

Do ust Niemowieckiemu nabrało się ziemi, która skrzypiała na zębach. I pierwsze co poczuł, kiedy się ocknął z zemdlenia, był mocny, spokojny zapach ziemi. Głowa bezwładna, niby mętnym ołowiem nalana, tak że trudno ją nawet obrócić, całe ciało obolałe i potłuczone, ale nic nie było złamane ani zranione. Niemowiecki siadł i długo patrzał do góry, nie myśląc o niczem i nic nie przypominając. Prosto nad nim zwieszał się krzak z czarnymi, szerokimi liśćmi i przez nie przeglądało rozjaśnione niebo. Chmura przeszła, nie rzuciwszy ani kropli deszczu, powietrzu tylko nadając suchość i lekkość, i wysoko na środek nieba wypłynął przecięty księżyc z przezroczystym, rozpływającym się brzegiem. Przeżywał już ostatnie swe noce i świecił zimno, smutno i samotnie. Niewielkie skrawki obłoków chyżo mknęły ku górze, gdzie widocznie wiał ciągle silny wiatr; ale nie zakrywały księżyca, tylko ostrożnie

wymijały go. W samotności księżyca, w ostrożności ruchu obłoków, w lekkości wiatru nieznacznego w dole, czuło się tajemniczą głębię panującej nad ziemią nocy.

Niemowiecki przypomniał sobie wszystko, co się stało, i nie uwierzył. Było to takie straszne i niepodobne do prawdy, która przecież nie może być tak okropną; i sam on, siedzący wśród nocy i patrzący gdzieś z dołu na przewrócony księżyc i lecące obłoki, był tak samo dziwnym i niepodobnym do rzeczywistego. I pomyślał sobie, że to zwyczajny, straszny sen, nad wyraz straszny i zły. I te kobiety, które oni tam spotykali, były też tylko snem.

— Nieprawda — powiedział stanowczo i słabo, poruszył ciężką głową. — Nieprawda.

Wyciągnął rękę i zaczął szukać czapki swej, żeby iść; ale czapki nie było. I to, że jej nie było, odrazu rozjaśniło wszystko i on zrozumiał, że to co się stało nie jest snem, ale okropną prawdą. — Za chwilę, zmartwiały

z przerażenia, piął się już pod górę, spadał razem z usuwającą się ziemią i znów się wspinał, czepiając się giętkich gałęzi krzaku.

A kiedy się nareszcie wydostał, pobiegł prosto, nie rozumując i nie wybierając kierunku, długo biegł i błąkał się między drzewami. Tak samo nagle i bezrozumnie zawrócił w inną stronę, i znowu gałęzie drapały mu twarz, i znowu wszystko wydało się jak sen. I Niemowieckiemu poczęło się wydawać, że kiedyś coś podobnego już było: ciemno, niedostrzegalne gałęzie rozdzierają mu twarz, a on biegnie, zamknąwszy oczy i myśląc, że to wszystko sen. Zatrzymał się, potem siadł w niewygodnej i niezwykłej pozie człowieka, siedzącego wprost na ziemi bez podwyższenia. I znowu pomyślał o czapce i powiedział:

— To ja. Trzeba się zabić. Trzeba zabić, jeśli to nawet sen.

Podniósł się i pobiegł znowu, ale się opamiętał i poszedł wolniej, niejasno rysując sobie w pamięci to miejsce, gdzie na nich na-

padli. W lesie było zupełnie ciemno, ale od czasu do czasu przedarł się blady promień księżyca i zwodził, oświetlając białe pnie, i las wydawał się przepełnionym nieruchomymi i dlaczegoś dziwnie milczącymi ludźmi. I to było już kiedyś i to wyglądało jak sen.

— Zeneido Nikołajewna — wołał Niemowiecki — głośno wymawiając pierwsze słowo, ale cicho drugie, jak gdyby wraz z dźwiękiem tracił nadzieję, że się ktoś odezwie. I nikt się nie odzywał.

Potem trafił na ścieżkę, poznał ją i doszedł do polanki. I tutaj znowu i już zupełnie zrozumiał, że wszystko to prawda i w przerażeniu rzucał się — wołając:

— Zeneido Mikołajewna! To ja! ja!

Nikt nie odpowiadał, więc obróciwszy się twarzą w stronę, gdzie musiało być miasto, Niemowiecki rozdzielając, sylaby zawołał:

— Ra-tuj-cie.

I znowu zaczął biedz, szepcąc coś, przeszukując krzaki, kiedy naraz przed samemi

nogami jego wyłoniła się biała, zmącona plama, podobna do zmartwiałej smugi złotego światła. To leżała Zinoczka.

— Boże! Cóż to? Z suchemi oczyma, ale głosem nabrzmiałym łzami, powiedział Niemowiecki i ukląkł, dotykając leżącej, ręka jego trafiła na ciało, gładkie, jędrne, zimne, ale nie martwe i z dreszczem, i grozą Niemowiecki cofnął ją.

— Droga moja, jedyna, — to ja, — szepiał, — szukając jej twarzy po ciemku. I znowu w innym kierunku wyciągnął rękę i znowu natrafił na gołe ciało, i tak w którąkolwiek stronę wyciągał ją, natrafiał ciągle na nagie ciało kobiece, gładkie, jędrne, rozgrzewające się pod dotknięciem ręki. Chwilami prędko cofał rękę, to znowu zatrzymywał ją i jak sam bez czapki, obdarty, wydawał się sobie nieprawdziwym, nierzeczywistym, tak i z tem obnażonem ciałem nie mógł połączyć pojęcia o Zinoczce. I to, co tu zaszło, co ci ludzie zrobili z tem niemem ciałem kobiecem stanęło przed

nim w całej ohydnej jasności i z jakąś dziwną, rozbrzmiewającą siłą znalazło oddźwięk we wszystkich członkach jego. Przeciągnąwszy się tak, że chrząstnęły stawy, tępo zapatrzył się w białą plamę i ściągnął brwi, jak człowiek, który myśli. Strach przed tem co się stało, zamierał w nim, zwijał się w kłębek i leżał w duszy, jak coś obcego i bezsilnego.

— Boże, cóż to jest? — powtórzył, ale dźwięk był fałszywy, niby umyślnie.

Wyszukał serce: uderzało słabo, ale równo, i kiedy się pochylił do samej twarzy, uczuł lekki oddech, jak gdyby Zinoczka nie była zemdlona, a poprostu spała. Zawołał na nią cicho:

— Zinoczka, to ja!

I natychmiast uczuł, że będzie jakoś dobrze, jeśli się ona długo nie przebudzi. Tamując oddech i prędko oglądając się dokoła, ostrożnie pogłaskał ją po twarzy i pocałował z początku w zamknięte oczy, potem w usta, miękko rozsuwające się pod mocnym pocałunkiem. Przestraszyła go myśl, że może

ją obudzić, cofnął się więc i zamarł. Ale ciało było nieme i nieruchome i w tej jego bezbronności i pokorze było coś rzewnego i drażniącego, nieprzeparcie ciągnącego ku sobie. Z głęboką tkliwością i przebiegłą, lękliwą ostrożnością starał się Niemowiecki zarzucić na nią podarte szmaty jęj sukni i to podwójne odczuwanie pod ręką wełny i nagiego ciała ostre było jak nóż i niepojęte jak szał. Był obrońcą i tym który rabuje i sam szukał pomocy u otaczającego lasu i ciemności, ale las i ciemność nie dodały jej. Tu była uczta zwierząt i, nagle wyrzucony poza granicę ludzkiego rozumienia i ludzkiego życia, potrafił już tylko wchłaniać palącą lubieżność, rozlaną w powietrzu, i rozszerzać nozdrza.

— To ja! ja! bezmyślnie powtarzał on — nie rozumiejąc otoczenia i cały przesiąknięty wspomnieniem o tym białym rąbku spódniczek, który widział niegdyś, o czarnej sylwetce nogi i tkliwie obejmującym ją pantofelku. I wsłuchując się w oddech Zinoczki, nie od-

rywając oczu od tego miejsca, gdzie była jej twarz, posunął rękę. Nasłuchiwał znowu i posunął dalej.

— Cóż to? — głośno i rozpaczliwie krzyknął — wreszcie porwał się przerażony tem, co robił. Na jedną chwilę w oczach mu błysnęła twarz Zinoczki i zginęła znowu. Starał się zrozumieć, że to ciało — Zinoczka, z którą on szedł dziś, i która mówiła o nieskończoności, i nie mógł, starał się poczuć całą grozę tego, co się stało, ale groza była tak wielką, jeśli pomyśleć, że wszystko to prawda, że nie przychodziła.

— Zeneida Mikołajewna! — krzyknął błagalnie — pocóż to wszystko? — Zeneida Mikołajewna?

Ale niemem było zmęczone ciało, i z urywanemi, gorączkowemi słowami Niemowiecki usunął się na kolana. Błagał, zagrażał, mówił, że się zabije i szarpał leżącą, podnosząc, przewracając, przyciskając ją ku sobie i prawie wgryzając się paznokciami. Rozgrzane ciało

miękko poddawało się jego wysiłkom, posłusznie idąc za jego ruchami i wszystko to było tak straszne, niepojęte i dzikie, że Niemowiecki znowu porwał się i zachrypnięty zawołał:

— Ratujcie! — Ale ton był fałszywy — niby umyślnie.

I rzucił się na bezoporne ciało, całując, płacząc, czując przed sobą jakąś otchłań ciemną, straszną, pociągającą. Niemowieckiego nie było, Niemowiecki został gdzieś daleko, a ten, co był teraz, ze strasznem okrucieństwem gniótł rozgrzane ciało i mówił, śmiejąc się już przebiegłym uśmiechem obłąkanego.

— Odezwij się! — Czy nie chcesz? — ja kocham cię.

Z tym samym przebiegłym uśmiechem zbliżył rozszerzone oczy do samej twarzy Zinoczki i szeptał:

— Kocham ciebie! Nie chcesz mówić, ale uśmiechasz się, widzę to, kocham cię, kocham, kocham.

Mocno przycisnął do siebie miękkie, bez-

bronne ciało, swoją martwą pokornością budzące dziką namiętność, łamał ręce i bezdźwięcznie szeptał, zachowując już tylko jedną cechę ludzką — zdolność kłamania.

— Kocham cię. Nie powiemy nikomu i nikt się nie dowie. Ożenię się z tobą jutro — jeśli zechcesz. Kocham cię. Pocałuję, a ty mnie odpowiesz. Dobrze, Zinoczka?

I z siłą przypadł do ust jej, czując jak zęby wciskały się w ciało, w bólu i mocy pocałunku tracąc ostatnie przebłyski myśli. Naraz zdało mu się, że usta dziewczęcia drgnęły. Na jedną chwilę błyszczące, ogniste przerażenie rozjaśniło jego myśl, odkrywając przed nim czarną otchłań.

I czarna otchłań pochłonęła go.

KŁAMSTWO

I.

— Kłamiesz! Wiem, że kłamiesz!

— I pocóż krzyczeć? Czy tak koniecznie chodzi ci oto, żeby wszyscy słyszeli nas?

I tu znowu kłamała, bom ja nie krzyczał wcale; mówiłem zupełnie cicho, cicho; trzymałem ją za rękę i mówiłem cicho, cicho; a to zjadliwe słowo »kłamstwo« syczało jak mała żmija.

— Kocham cię — mówiła — powinieneś wierzyć. Czyż ci to nie wystarcza?

Pocałowała mnie. Ale kiedy wyciągnąłem ramiona, żeby ją objąć i ścisnąć, nie było już nikogo. Uciekła z przyćmionego korytarza... I znowu powlokłem się za nią tam na tę wesołą ucztę. Czy ja wiem, gdzie to było? Powiedziała, żebym przyszedł — przyszedłem i patrzyłem, jak przez całą noc kręciły się

pary. Nikt nie zbliżał się do mnie i nie zaczepiał, i obcy dla wszystkich siedziałem w kącie koło muzykantów. Wprost na mnie skierowany był rozszerzający się otwór trąby, i stamtąd ryczał ktoś uwięziony i co parę minut ostro i grubo śmiał się: ho-ho-ho.

Czasem zbliżał się ku mnie biały, pachnący obłok. To była ona. Nie pojmuję, jak potrafiła zawsze pieścić mię nieznacznie wśród ludzi; ale na jedną krótką chwilkę ramię jej przyciskało się do mego ramienia; na jedną krótką chwilkę widziałem, zniżając oczy, białą szyję w wycięciu białej sukni. A kiedym podniósł oczy — profil, taki biały, srogi i szlachetny, jaki może mieć tylko anioł, dumający nad mogiłą zapomnianego człowieka. I oczy jej widziałem. Duże były, spragnione światła, piękne i spokojne. Otoczona błękitną obwódką, czerniała źrenica i żebym niewiedzieć jak długo patrzał w nią, była zawsze tak samo czarną, głęboką, nieprzeniknioną. Możem patrzał w nią tak krótko, że serce

nie zdążyło nawet ani razu uderzyć — nie wiem, ale nigdy tak głęboko i rozpacznie nie rozumiałem co znaczy nieskończoność i nigdy z taką siłą nie odczuwałem jej. I myślałem jeszcze ze strachem i bólem, że całe życie moje wązkim promieniem przechodzi w jej oczy, aż staję się obcym samemu sobie, wyjałowionym i niemym — prawie martwym! Wtedy ona odchodzi, zabierając ze sobą życie moje, i znowu tańczy z kimś wysokim, pysznym i pięknym. Wystudyowałem w nim każdy szczegół: fason obuwia, szerokość podniesionych trochę ramion, miarowe opadanie na czoło włosów, rozwianych w tańcu — a on swem obojętnem, niewidzącem spojrzeniem zdawał się wtłaczać mię w ścianę, że stawałem się tak samo płaskim, nieistniejącym dla oczu jak ona.

Kiedy już zaczęły gasnąć wypalone świece, zbliżyłem się do niej, mówiąc:

— Czas jechać. Odprowadzę panią.

Zdziwiła się.

— Ale przecież ja jadę z nim — wskazała w stronę wysokiego i pięknego, który nie patrzał na nas. I wyprowadziwszy mnie do pustego pokoju, pocałowała.

— Kłamiesz — powiedziałem cicho, cicho.

— Zobaczymy się dziś, powinieneś przyjść — odpowiedziała ona.

Z poza wysokich dachów patrzyło zielone, mroźne rano, kiedym jechał do domu. A na całej ulicy było nas dwóch tylko: dorożkarz i ja. Na koźle siedział on ponury, z twarzą ukrytą w kołnierzu, a za nim ja tak samo ponury, tak samo chowając twarz w kołnierzu aż do samych oczu. Dorożkarz miał swoje myśli, ja swoje, a tam za grubemi ścianami spało tysiące ludzi i oni mieli swoje sny, swoje myśli. Myślałem o niej i o tem, że kłamie, myślałem o śmierci i zaczęło mi się zdawać, że te szaro oświetlone ściany widziały już moją śmierć i dlatego właśnie są takie zimne i proste. Nie wiem, o czem myślał dorożkarz. Nie wiem, o czem marzyli ci —

tam poza ścianami. Ale i oni przecież nie wiedzieli nic o moich myślach i marzeniach. I tak jechaliśmy przez długie i proste ulice, a poranek podnosił się z nad domów i wszystko dokoła było nieruchome i białe. Pachnący, zimny obłok zbliżał się ku mnie i prosto do ucha śmiał się ktoś więziony: ho-ho-ho.

II.

Skłamała. Nie przyszła; czekałem napróżno. Szary, równy, zastygły zmierzch zsuwał się z ciemnego nieba i nie spostrzegłem, jak wieczór przeszedł w noc. — Ciągle tym samym krokiem, jednostajnym, miarowym krokiem długiego oczekiwania chodziłem tam i z powrotem. Nie zbliżałem się do wysokiego domu, w którym mieszkała moja ukochana, ani nawet do szklanych drzwi jego, żółtą plamą rysujących się pod zielonym daszkiem. Chodziłem po przeciwległej stronie ciągle tym samym miarowym krokiem tam i z powrotem, tam i z powrotem. Idąc w tamtą

stronę, nie odrywałem oczu od szklanych drzwi, a wracając, często zatrzymywałem się i obracałem głowę, i wtedy śnieg ostremi szpilkami kłuł moją twarz. I tak długie były te ostre i zimne szpilki, że przeszywały mię aż do serca, kłuły je tęsknotą i gniewem bezsilnego oczekiwania. Od jasnej północy ku ciemnemu południowi swobodnie pędził zimny wiatr, gwiżdżąc skakał po dachach, cienką warstwą lodu pokrytych i, spadając stamtąd, ciął mi twarz ostremi, małemi gwiazdkami śniegu i stukał o szyby pustych latarń, gdzie samotny, drżący od zimna, pochylał się żółty płomień.

I żal mi było samotnego płomienia, żyjącego tylko w nocy, i myślałem, że oto całe życie skończy się na tej ulicy i ja odejdę, a tylko małe gwiazdki śniegu będą pędziły przez pustą przestrzeń, i żółty płomień będzie drżał pochylony w samotności i zimnie.

Czekałem na nią — nie przychodziła. I zdawało mi się, że samotny płomień i ja — podobni jesteśmy do siebie, tylko moja latarnia

nie była tak pustą; na tej przestrzeni, którą wymierzyłem krokami, czasem zjawiali się ludzie. Niepostrzeżenie wyrastali za memi plecami wielcy i ciemni, przesuwali się koło mnie i jak widma ginęli nagle za białym gmachem. I znowu wychodzili, mijali mnie i powoli rozpływali się w szarej przestrzeni, pełnej skłębionego śniegu.

III.

Wściekły, zgrzytając zębami, wołałem:

— Powiedz mi prawdę!

I z zimną jak śnieg twarzą, ze zdziwieniem w podniesionych brwiach, pod któremi tak samo beznamiętnie i zagadkowo ciemniała nieprzenikniona źrenica, pytała:

— Czyż ja ci kłamię?

Wiedziała, że nie mogę udowodnić kłamstwa i że wszystkie moje ciężkie, doskonałe wytwory badającej myśli skruszone będą jednem jej słowem — jeszcze jednem kłamliwem słowem. Czekałem nań — a ono zbie-

gało z jej ust błyszczące na zewnątrz barwami prawdy i ciemne w głębi swej.

— Kocham cię. Czyż nie należę całkiem do ciebie?

Byliśmy daleko od miasta, i w okna patrzyło śniegiem pokryte pole. Nad niem panowała ciemność i dokoła była ciemność gęsta, nieruchoma, milcząca; ale ono jaśniało swem tajemniczem światłem, jak twarz zmarłego po ciemku. Jedna świeca tylko paliła się w dużym, mocno ogrzanym pokoju i w czerwonym płomieniu widać było blady odblask martwego pola.

— Jakkolwiek smutną będzie prawda, chcę ją wiedzieć. Może umrę usłyszawszy ją, ale śmierć lepsza niż nieświadomość prawdy. W pocałunkach twych i pieszczocie czuję fałsz. W oczach twoich widzę go. Powiedz mi prawdę i odejdę na zawsze — mówiłem.

Ale milczała i spojrzenie jej zimne, badawcze przenikało mię do głębi, nicowało mi duszę i z dziwną ciekawością przyglądało się jej.

— Odpowiadaj, albo zabiję — krzyknąłem.

— Zabij! — odpowiedziała spokojnie; czasem tak nudnem jest życie. Ale czyż można groźbą wydrzeć prawdę?

Więc ukląkłem, ściskając jej ręce, płacząc błagałem o litość nademną — i o prawdę.

— Biedny — mówiła, kładąc mi rękę na włosach. Biedny!

— Zlituj się nademną — błagałem. Tak pragnę prawdy.

Patrzyłem na jej czyste czoło i myślałem, że prawda jest tam za tą cienką przegródką. I ogarnęła mnie szalona chęć zerwania czaszki, kryjącej prawdę. A oto pod białą piersią bije serce — i ogarnęła mnie szalona chęć paznokciami rozerwać pierś i raz przynajmniej zobaczyć obnażone serce ludzkie Nieruchomo stał żółty płomień wypalającej się świecy i ciemniały, rozsuwały się ściany i było tak smutno, tak samotnie, tak straszno.

— Biedny — mówiła. — Biedny.

Drgnąwszy kurczowo, zbladł żółty płomień;

potem zgasł zupełnie — ciemność objęła nas. Nie widziałem ani twarzy jej, ni oczu; ramionami otoczyła moją głowę i nie czułem już kłamstwa. Zamknąłem oczy, nie czułem, nie żyłem, wchłaniałem w siebie tylko dotknięcie tych rąk: i to jedynie wydawało mi się prawdą.

Po ciemku cicho rozchodził się jej szept trwożliwy i dziwny.

— Przytul mię bliżej. Boję się.

I znowu cisza i znowu ledwie dosłyszalny, pełen przerażenia szept:

— Chcesz prawdy. Czyż ja wiem sama, czyż nie chciałabym wiedzieć? Ratuj mnie... O jak straszno...

Otworzyłem oczy. Blady zmrok w przerażeniu uciekał od wysokich okien, gromadził się przy ścianach i chował się po kątach, a przez okna cicho patrzyły jakieś duże, trupio białe oczy. Zdawało się, że wyszukiwały nas i ogarniały nas swem lodowatem spojrzeniem.

Tuliliśmy się do siebie, drżący, onieśmieleni, a ona szeptała:

— O, jak straszno!

IV.

Zabiłem ją... Zabiłem ją i kiedy bezwładna, jakaś dziwnie płaska leżała tam przy oknie, przez które zaglądało białe, martwe pole, stanąłem nogą na trupie i śmiałem się.

To nie był śmiech obłąkanego — o nie! Pierś moja oddychała równo i lekko, bo wesoło było w niej, spokojnie, pusto i dlategom się śmiał — serce wyzwoliło się wreszcie!

Pochylając się, zajrzałem w jej martwe oczy. Duże, spragnione światła były otwarte i podobne do oczu lalki woskowej — tak samo okrągłe i bez wyrazu, niby pokryte miką. Mógłbym dotykać je palcami, otwierać i zamykać — nie bałem się, bo w czarnej, nieprzeniknionej źrenicy nie żył już ten demon kłamstwa i zwątpienia, który tak długo, tak łakomie pił moją krew.

Śmiałem się ciągle i ludziom, co przyszli mię ująć, wydało się to strasznem i dzikiem. Jedni z obrzydzeniem odwracali się odemnie i odchodzili na bok, inni znów prosto z wyrzutem na ustach szli na mnie, ale kiedy na oczy ich upadł mój światły, wesoły wzrok, twarze ich bladły i ziemia przykuwała do siebie ich nogi.

— Waryat — mówili i zdawało mi się, że to słowo pociesza ich, bo pomaga zrozumieć tajemnicę, jak mogłem ja kochający zabić kochaną i śmiać się.

Tylko jeden, tęgi z twarzą czerwoną i wesołą nazwał mię innem słowem, i ono uderzyło mię i odrazu zaciemniło mi świat przed oczyma.

— Biedny człowiek! — powiedział on ze współczuciem, bez gniewu, bo był przecież taki tęgi i wesoły.

— Biedny.

— Nie trzeba! — krzyknąłem. — Nie trzeba tak do mnie mówić, tak mię nazywać.

I rzuciłem się ku niemu — nie wiem po co właściwie. Nie chciałem go przecież ani zabić, ani dotknąć nawet; ale wszyscy ci przestraszeni ludzie, co widzieli we mnie tylko waryata i mordercę, jeszcze więcej przelękli się i zaczęli krzyczeć, tak że mi się znowu zrobiło śmiesznie.

Kiedy mię wyprowadzali z pokoju, w którym leżał trup, postękałem głośno i uparcie, patrząc na wesołego, tęgiego człowieka.

— Jestem szczęśliwy, szczęśliwy.

I to było prawdą.

V.

Kiedyś w dzieciństwie widziałem w zwierzyńcu panterę, która porwała wyobraźnię moją i na długo przykuła do siebie myśl. Nie była podobną do innych zwierząt, co bezmyślnie drzemały, albo krwawo patrzyły na zwiedzających. Z kąta w kąt ciągle po tej samej, matematycznie prostej linii chodziła ona, za każdym razem zawracając w tem samem

miejscu, za każdym razem uderzając swój złocisty bok o ten sam żelazny pręt kraty. Krwiożercza ostra głowa jej była spuszczona, a oczy patrzyły przed siebie, ani razu nigdy nie zwracając się w bok. Przed klatką jej całymi dniami stali ludzie, mówili nawet głośno, a ona chodziła ciągle i ani razu oczy jej nie zwróciły się w stronę patrzących. I w tłumie niedużo było takich, co się uśmiechali, większość poważnie, nawet ponuro patrzyła na ten żywy obraz ciężkiego, beznadziejnego zadumania się i odchodzili z westchnieniem. A odchodząc jeszcze raz oglądali się na nią, pełni jakiegoś dziwnego zdumienia i smutku, jak gdyby coś wspólnego było między losem ich, wolnych ludzi, i tego nieszczęśliwego, więzionego zwierzęcia. I kiedy później ze mną, już dorosłym, ludzie i książki zaczęły mówić o wieczności, przypomniała mi się pantera i jej męka. Taką panterą stałem się ja w mojej murowanej klatce. Chodziłem i myślałem. Chodziłem po jednej linii na ukos z kąta do

kąta; i po jednej krótkiej linii szły moje myśli, takie ciężkie, że zdawałoby się: nie głowę, ale cały świat dźwigam na barkach. W jednem słowie tylko mieścił się on, ale jakie to było wielkie, jakie mordujące, jakie rozpaczne słowo.

— Kłamstwo — tak się wymawiało ono.

Znowu sycząc wypełzało ze wszystkich kątów i zwijało się wokoło mej duszy; ale nie było już małą żmijką, bo wyrosło teraz na wielką błyszczącą i okrutną żmiję, która wgryzała się i dusiła mię swymi żelaznymi zwojami; a kiedym chciał krzyknąć z bólu, z ust moich wylatywał ten sam okropny świszczący dźwięk, jak gdyby cała pierś moja stała się siedliskiem płazów.

— Kłamstwo.

I ciąglem chodził i myślał, a przed oczami memi szara, równa podłoga zamieniała się w ziejącą, bezdenną otchłań. Nogi przestawały odczuwać dotknięcie kamienia, i zdawało mi się, że bujam gdzieś na nieskończonej wysokości: wśród obłoków i mgły. I kiedy z piersi

mej wyrywał się świszczący jęk, w dole, poza tą lekką, a jednak nieprzebytą zasłoną, budził się straszny oddźwięk. Taki stłumiony, jak gdyby szedł wieki całe i z każdą chwilą, w każdym stanie mgły tracił siłę swoją. Rozumiałem, że tam w dole jęczał on jak wiatr, co podcina drzewa, ale do mego ucha dochodził już tylko jako krótki rozpaczny szept — kłamstwo.

Ten podły szept oburzał mię. Uderzyłem nogą w podłogę i krzyknąłem:

— Niema kłamstwa! Zabiłem je.

I umyślnie odwracałem się na bok, bom wiedział, jaką będzie odpowiedź. Z głębi bezdennej otchłani powoli odpowiadano:

— Kłamstwo.

No, czy możecie zrozumieć — pomyliłem się strasznie. Zabiłem kobietę, a kłamstwo uczyniłem nieśmiertelnem. Nie zabijajcie kobiety, zanim błaganiem, męką i ogniem nie wyrwiecie z jej duszy prawdy!

Takem myślał, chodząc w klatce mojej naokoło z kąta w kąt.

VI.

Ciemno i straszno tam, gdzie ona zabrała z sobą prawdę i kłamstwo, — ale ja pójdę tam, przy samym tronie szatana dogonię ją, padnę na kolana, płakać będę i błagać — powiedz mi prawdę!

Ale, Boże wielki! przecież to kłamstwo. Tam ciemność, tam próżnia wieków i nieskończoności: i tam jej niema, jak niema jej nigdzie. A kłamstwo zostało i trwa. — Nieśmiertelne. — Czuję je w każdym atomie powietrza, przy oddychaniu wchodzi sycząc do piersi mojej — rwie ją, rozdziera.

O jakież to szaleństwo być człowiekiem i szukać prawdy. — Jakiż to ból.

Ratujcie mnie, ratujcie.

NA ALARM DZWONIĄ!

I.

Tego gorącego, złowróżbnego lata paliło się wszystko. Paliły się miasta całe, wsie, osady; nawet las i pole nie mogły już ratować się od ognia: pokornie zapalał się bezbronny las i czerwonym dywanem legł ogień na zeschłych łąkach. W dzień w zjadliwym dymie chowało się purpurowe, mętne słońce, a nocami w rozmaitych końcach nieba zapalała się łuna, skakała w milczącym, fantastycznym tańcu i dziwne niejasne cienie ludzi i drzew pełzały po ziemi, jak niestworzone płazy. Psy przestały szczekać uprzejmym skowytem, zdaleka nawołującym wędrowca i obiecującym mu dach i ukojenie; ale wyły przeciągle i żałośnie, albo milczały ponuro, chowając się po dziurach. I ludzie jak psy patrzyli na siebie złemi, przestraszonemi oczyma i głośno

mówili o podpaleniach i tajemniczych podpalaczach. Na jakiejś głuchej wsi zabili staruszka, który nie mógł powiedzieć dokąd idzie; a potem kobiety płakały nad zabitym i żałowały jego siwej brody, zlepionej kroplami ciemnej krwi.

Tego gorącego, złowróżbnego lata mieszkałem na wsi w domu obywatelskim, gdzie było dużo kobiet starych i młodych. W dzień pracowaliśmy dużo, rozmawiali i nie myśleliśmy o pożarach, ale gdy nadchodziła noc, ogarniał nas nieprzezwyciężony strach. Właściciel majątku wyjeżdżał często do miasta; wtedy nie spaliśmy całą noc, trwożliwie obchodziliśmy posiadłość, szukając podpalaczy. Tuliliśmy się do siebie zalęknieni i szeptaliśmy cichutko, a noc była bezdźwięczna i ciemnemi, obcemi masami podnosiły się zabudowania. Jakieś nieznane były, jak gdyby nigdy dotąd niewidziane i strasznie nietrwałe, niby wyczekujące ognia i już przygotowane do niego. Pewnego razu w szczelinie ściany błysnęło przed nami

coś jasnego. To było niebo, a myśmy myśleli, że to ogień, i kobiety z krzykiem rzuciły się ku mnie, który byłem dzieciakiem prawie, szukając opieki i pomocy.

Ja sam przestałem oddychać z przerażenia i nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Nieraz w pośród głuchej nocy wstawałem z gorącego, rozrzuconego łóżka i przez okno wyłaziłem do ogrodu. To był stary, królewski, ponury ogród, na największą burzę odpowiadający tylko powściągliwym pomrukiem; w dole ciemno było i śmiertelnie cicho, niby na dnie otchłani, a górą szedł niejasny szmer i szum, podobny do dalekiego stepowego rozhoworu. Chowając się przed kimś, co trop w trop skradał się za mną i zaglądał przez ramię, uciekałem na koniec ogrodu, gdzie na wysokim wale stał płot, a za płotem daleko w dół rozchodziły się pola, lasy i skryte ciemnością siedliska ludzi. Wysokie, ponuromilczące lipy rozsuwały się przedemną — i z po za ich grubych, czarnych pni, ze szcze-

lin płota, z prześwietlań między liśćmi wyzierało ku mnie coś strasznego i niezwykłego, od czego trwożliwym dreszczem ściskało mi się serce i podcinały się nogi. Widziałem niebo, ale nie ciemne, spokojne niebo nocy, tylko różowe, jakie nie było nigdy ani w dzień ani w nocy. Potężne lipy stały poważnie, w milczeniu i jak ludzie oczekiwały czegoś, a niebo nienaturalnie czerwieniało i purpurowymi dreszczami przebiegały po niem złowrogie odbłyski palącej się na dole ziemi. Powoli podnosiły się do góry skłębione słupy dymu, i w tem, że one były tak spokojne, podczas kiedy na dole wszystko zgrzytało, tak powolne i królewskie, podczas kiedy na dole wszystko biło się i trzepotało — była zagadka i ta sama straszna nienaturalność, jak i w różowem zabarwieniu nieba. Jak gdyby ocknąwszy się, wysokie lipy wszystkie naraz zaczęły rozmawiać, pochylając się koronami i tak samo nagle zamilkły, na długo zamierając w ponurem oczekiwaniu. Zrobiło

się cicho jak na dnie otchłani. Daleko poza sobą czułem przygotowany na wszystko dom, kryjący w sobie przestraszonych ludzi; koło mnie tłoczyły się milczące lipy, a w górze cicho bujało niebo, jakie nie bywa ani w dzień ani w nocy.

I dlatego, żem je widział nie całe, a tylko w szczelinach między drzewami, było mi jeszcze straszniejsze i więcej niepojęte.

II.

Była noc. Drzemałem niespokojnie, kiedy w ucho me wpadł tępy, urywany dźwięk, jak gdyby wyleciał z pod podłogi — wpadł i zastygł w mózgu jak okrągły kamień. Za nim wtargnął drugi, tak samo krótki i ciężki, i głowa zaczęła ciężyć i boleć, jak gdyby gęstemi kroplami spadał na nią rozpalony ołów. Krople wyżłabiały i przepalały mózg; było ich coraz więcej, i niedługo gęstym deszczem urywanych dźwięków napełniły mi głowę.

— Bum! Bum! Bum! — zdaleka rzucał ktoś wysoki, silny i niecierpliwy.

Otworzyłem oczy i zrozumiałem odrazu, że to dzwon alarmowy i że pali się poblizka wieś — Słobodyszcze. W pokoju było ciemno i okno zasłonięte, ale od tego strasznego wołania cały on z meblami, obrazami i kwiatami jak gdyby wybiegł na ulicę, i nie czuło się ani ścian, ni sufitu.

Nie pamiętam jakem się ubrał, nie wiem dlaczego pobiegłem sam. Albo ludzie biegnący w tym samym kierunku zapomnieli o mnie, albo ja nie przypomniałem sobie o ich istnieniu. Dzwon wołał uporczywie i głucho, jak gdyby nie z przezroczego powietrza padały dźwięki, a wyrzucała je niepomierna grubość ziemi. Pobiegłem.

W różowej poświacie nieba zgasły gwiazdy i w ogrodzie było dziwnie jasno, jak nie bywa ani w dzień, ani w królewską księżycową noc, a kiedym podbiegł do płotu, przez szczeliny spojrzało na mnie coś jaskrawie-

czerwonego, zburzonego, rozpaczliwie rzucającego się we wszystkie strony. Wysokie lipy, jak gdyby skropione krwią, drżały okrągłymi liśćmi i trwożliwie obracały je na dół, ale głosów ich nie było słychać za krótkiemi, silnemi uderzeniami rozkołysanego dzwonu. Teraz dźwięki były jasne i pewne, i leciały z szalonym pośpiechem, jak rój rozpalonych kamieni. Nie bujały w powietrzu, jak gołębie cichego dzwonu »na Anioł pański«, nie rozpływały się w niem pieszczotliwą falą uroczystego nawoływania wiernych do porannej modlitwy — leciały prosto, jak groźne zwiastuny nieszczęścia, które nie mają czasu obejrzeć się poza siebie i rozszerzają oczy z przerażenia.

— Bum! Bum! Bum! — leciały z niepohamowanym rozpędem, i silne wyprzedzały słabsze, i wszystkie razem wgryzały się w ziemię, przeszywały niebo.

Tak samo prosto jak one, biegłem przez zorane pole, błyszczące gdzieniegdzie krwawymi odblaskami, niby łuska ogromnego,

czarnego potwora. Nad głową moją, strasznie wysoko, wolno przepływały samotne, jaskrawe iskry, a przedemną szalał straszny pożar wsi, kiedy to na jednym stosie giną domy, zwierzęta i ludzie.

Tam, poza kunsztowną linią czarnych drzew, okrągłych, albo ostrych jak włócznie, wzbijał się oślepiający płomień, wychylał dumnie szyję, jak oszalały koń, skakał, ciskał w czarne niebo ogniowe piłki i drapieżnie pochylał się na dół po nową zdobycz. W uszach mi huczało od szybkiego ruchu, serce biło głośno; a wyprzedzając jego uderzenia, prosto w głowę i w pierś biły urywane dźwięki dzwonu alarmowego. I było w nich tyle rozpaczy, jak gdyby to nie miedziany dzwon dźwięczał, tylko w śmiertelnych drganiach biło serce samej wiele cierpiącej ziemi.

— Bum! Bum! Bum! — wyrzucały ze siebie rozpalone zgliszcza, i trudno było uwierzyć, że te potężne i rozpaczliwe dźwięki wyrzuca dzwonnica kościelna, taka mała i cienka, taka

spokojna i cicha, jak dziewczynka w różowej sukience.

Padałem, opierając się o suchą ziemię, która rozsuwała mi się pod rękami; podnosiłem się i biegłem znowu, a na spotkanie me leciał ogień i nawołujące dźwięki alarmowego dzwonu. Jużem mógł słyszeć, jak jęczy drzewo pożerane ogniem, i jak krzyczą ludzie rozpaczliwie i strasznie. A kiedy na chwilę ustawało wężowe syczenie ognia, dokładnie wyróżniał się przeciągły, jęczący dźwięk: to wyły kobiety i ryczało bydło, objęte strachem panicznym.

Błoto mię zatrzymało. Szerokie, zarośnięte błoto, daleko rozchodzące się na prawo i na lewo. Wszedłem do wody, która z początku dosięgała kolan, potem piersi, ale błoto wciągało mię, i musiałem wrócić na brzeg. Naprzeciwko, zupełnie blizko, szalał ogień i wyrzucał w niebo chmury złocistych iskier, podobnych do ogniowych liści olbrzymiego drzewa; w czarnej ramce z sitowia ognistemi, błyszczącemi zwier-

ciadłami powstawała błotnista woda — i dzwon wołał rozpaczliwie w śmiertelnej męce:

— Idź! idź! — przychodź prędzej!

III.

Rzucałem się na brzegu, z tyłu za mną rzucał się mój czarny cień, a kiedym się pochylał ku wodzie, badając głębokość, patrzyło na mnie z czarnej otchłani widmo ognistego człowieka i w zmienionych rysach twarzy jego, w rozrzuconych włosach, niby podniesionych na głowie jakąś straszną siłą — nie mogłem poznać samego siebie.

— Cóż to? Boże jedyny! — błagałem, wyciągając ręce.

A dzwon wołał. Nie błagał już — krzyczał jak człowiek, jęczał i dławił się. Dźwięki straciły swoją poprawność i tłoczyły się jeden na drugi, prędko, bez echa, umierając i rodząc się i umierając znowu. Znowu pochyliłem się ku wodzie i obok za swojem odbiciem zobaczyłem drugie ogniste widmo

wysokie, proste i — o Boże wielki — jednak podobne do człowieka.

— Kto to — krzyknąłem, oglądając się. Koło ramienia mego stał człowiek i milcząc patrzał na pożar. Twarz miał bladą i mokrą, nie zaschnięta jeszcze krew pokrywała policzek i błyszczała, odbijając ogień. Ubrany był po włościańsku. Może był już tu, kiedym ja przybiegł, zatrzymany tak samo błotem; może przyszedł potem — a jam nie słyszał jego przyjścia i nie wiedziałem, kto on.

— Pali się — powiedział, nie odrywając oczu od pożaru. W nich skakał odbity ogień, i wydawały się duże, szklane.

— Ktoś ty? skąd? — pytałem. — Jesteś skrwawiony.

Długimi, chudymi palcami dotknął policzka, spojrzał na nie i znowu zapatrzył się w ogień.

— Pali się — powtórzył, nie zwracając na mnie uwagi. — Wszystko się pali.

— Nie wiesz jak tam przejść? — pytałem, odsuwając się. — Domyśliłem się, że to jeden

z obłąkanych, których tak wiele zrodziło to złowrogie lato.

— Pali się — powtórzył. — Oho-ho-ho! pali się — krzyknął i zaśmiał się, przyjaźnie patrząc na mnie i kiwając głową. Dzwon zamilkł nagle, i głośniej zajęczał płomień. Ruszył się jak żywy i długiemi rękami, niby w wielkiem znużeniu, ciągnął ku zmilkłej dzwonnicy. Teraz wydała się wysoką i zamiast różowej miała już czerwoną suknię. W górze obok ciemnego otworu, gdzie wisiały dzwony, pokazał się lękliwy, spokojny ogieniek, podobny do płomienia świecy, i bladym promieniem odbił się w miedzianych bokach dzwonów. I znowu drgnęły dzwony, posyłając ostatnie, szalenie rozpaczliwe krzyki, i znowu rzucałem się na brzegu, a za mną rzucał się mój czarny cień.

— Pójdę! pójdę! — krzyczałem komuś, wołającemu na mnie. A wysoki człowiek spokojnie siedział za mną, obejmując rękami kolana, i śpiewał głośno, w takt dzwonów:

— Bum! Bum! Bum!

— Zwaryowałeś — krzyczałem na niego a on śpiewał coraz głośniej i weselej:

— Bum! Bum! Bum!

— Milcz! — błagałem.

Uśmiechał się i śpiewał, kiwając głową, a w szklanych oczach jego rozpalał się ogień. Straszniejszym od pożaru był ten waryat: zawróciwszy począłem uciekać wzdłuż brzegu. Ale zaledwiem zrobił parę kroków, gdy obok mnie bez szmeru wyrosła jego długa postać w rozwianej koszuli. Biegł milcząc jak ja długimi, nie znającymi zmęczenia krokami, i milcząc biegły przez zorane pole nasze czarne cienie.

W śmiertelnej męce dusił się dzwon i krzyczał jak człowiek, który już nie szuka pomocy i dla którego niema nadziei. I milcząc biegliśmy gdzieś w ciemność, a koło nas drwiąco skakały nasze czarne cienie.

MASKA

I.

O wpół do siódmej byłem przekonany, że przyjdzie, i cieszyłem się okropnie. Palto, zapięte tylko na jeden guzik u góry, rozchylało się na wietrze, nie czułem jednak zimna.. głowa dumnie zarzucona w tył, a studencka czapka z brawurą zsunięta z czoła... oczy w stosunku do spotykanych mężczyzn wyrażały łaskawość i przewagę, w stosunku do kobiet wyzwanie i pieszczotę: bo chociaż cztery dni już kochałem ją jedną tylko, byłem jeszcze tak młody, a serce moje tak bogate, że być zupełnie obojętnym dla innych kobiet nie mogłem. Chodziłem prędko, śmiało i lekko jak motyl. O trzy na siódmą palto miałem już zapięte na dwa guziki, a patrzyłem tylko na kobiety i już nie z wyzwaniem i pieszczotą, a z obrzydzeniem. Potrzebną mi była jedna tylko kobieta — reszta mogła zapaść

się pod ziemię: przeszkadzały tylko i swem urojonem podobieństwem do niej odbierały moim ruchom pewność i stałość.

O pięć do siódmej zrobiło mi się gorąco.

O dwie do siódmej drżałem z zimna.

O siódmej wiedziałem już, że nie przyjdzie.

O wpół do dziewiątej byłem najnędzniejszem stworzeniem na świecie. Palto zapięte na wszystkie guziki, kołnierz podniesiony i czapka naciśnięta aż na zsiniały nos; włosy na skroniach, wąsy i rzęsy białe były od szronu, a zęby dzwoniły zlekka. Nogi wlokły się, plecy pochyliły i można mię było wziąść za dość rzeźkiego jeszcze staruszka wracającego z wizyt — do przytułku.

I to wszystko sprawiła — ona! O, dyabł... nie, nie trzeba: mogli jej nie puścić, albo może jest chorą, albo umarła. Umarła! — a ja wymyślam!

II.

— Będzie tam dziś i Eugenia Mikołajewna — powiedział bez namysłu mój kolega

student: nie mógł przecież wiedzieć, żem czekał na Eugenię Mikołajewnę na mrozie od szóstej do wpół do dziewiątej.

— Doprawdy?! — odpowiedziałem spokojnie, a wewnątrz krzyknęło coś: o, dyabł...

Tam — to znaczy na balu u Połozowych. Połozowy ludzie, u których nigdy nie byłem. Ale dziś tam będę!

— Panowie! — krzyknąłem wesoło, dziś święto Bożego Narodzenia; wszyscy się bawią — urządźmy też jakąś zabawę.

— Ale jaką — smutnie odezwał się jeden.

— Ale gdzie — dodał drugi.

— Urządźmy sobie maskaradę, przebierzemy się i będziemy jeździli z balu na bal — postanowiłem.

I im naprawdę było wesoło — tym ludziom bez czucia. Krzyczeli, skakali i śpiewali. Dziękowali mnie i liczyli pieniądze, jakie mieli przy sobie. W pół godziny potem zbieraliśmy wszystkich samotnych, wszystkich znudzonych studentów, i kiedy nas się ze-

brało dziesięciu, wesoło skaczących łobuzów, wpadliśmy do fryzyera, napełniając salon jego mrozem, młodością i śmiechem.

Chciałem czegoś ponurego, pięknego z odcieniem wytwornej tęsknoty, więc prosiłem:

— Daj mi pan strój hiszpańskiego szlachcica.

Musiał to być bardzo długi szlachcic, bo w jego ubraniu schowałem się całkowicie i tak się czułem osamotnionym, jak w ogromnym odludnym salonie. Wydostawszy się z tego stroju, prosiłem o coś innego.

— Może pan pozwoli klowna? Dwukolorowy z dzwoneczkami.

— Klowna?! — zawołałem pogardliwie.

— Więc bandyty. Oto kapelusz i nóż.

Nóż! to bardzo odpowiadało moim zamiarom. Ale, niestety, bandyta, którego suknię mi dano, nie doszedł chyba do pełnoletności. Najprawdopodobniej był to zepsuty chłopaczek, mający około ośmiu lat. Jego kapelusz nie przykrył mi nawet połowy głowy, a z jego

aksamitnych spodni wyciągnęli mnie jak z pułapki. Paź był niemożliwy — cały w plamach jak tygrys. Mnich znowu podziurawiony i podarty.

— Cóż tak marudzisz? Późno już! niecierpliwili się moi towarzysze, już dawno ubrani. Zostawał więc tylko jedyny strój: znakomitego chińczyka.

— Dajcie chińczyka! machnąłem ręką zrezygnowany — i dali mi chińczyka. To było coś okropnego! Nie mówię już o samym stroju. Milczeniem zbywam jakieś idyotyczne, kolorowe buty, które były na mnie za małe, dały się wciągnąć tylko do połowy, a resztą sterczały, jak dwa niepojęte upiększenia po obu stronach nogi. Nie powiem też o różowym łachmanie, który zamiast peruki pokrywał głowę moją i przywiązany był nićmi do uszu, skutkiem czego te ostatnie sterczały jak u nietoperza.

Ale maska!

To była, jeżeli można tak powiedzieć,

abstrakcyjna fizyognomia. Miała nos, oczy, usta i wszystko poprawne, wszystko na swojem miejscu, ale w tem nie było nic ludzkiego. Człowiek w trumnie nawet nie może być tak spokojnym; w twarzy tej nie było ani smutku, ani radości, ni zdumienia — poprostu nie miała żadnego wyrazu. Patrzy na was prosto i spokojnie i nie możecie się powstrzymać od szalonego śmiechu. Koledzy moi tarzali się ze śmiechu na kanapach, wyczerpani padali na krzesła i machali rękami. To będzie najoryginalniejsza maska, mówili. Byłem blizkim płaczu, ale kiedym spojrzał w lustro, musiałem się śmiać tak samo jak oni. Tak, to będzie najoryginalniejsza maska.

— W żadnym razie nie zdejmować masek, umawialiśmy się po drodze. Dajmy słowo.

— Słowo! Słowo!

III.

Stanowczo była to najoryginalniejsza maska. Za mną chodzili całymi tłumami, męczyli

mnie, popychali, szczypali, a kiedy zmęczony, zagniewany, zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, zwracałem się do moich dręczycieli — ogarniał ich niepohamowany śmiech. Przez cały czas otaczała mię i dusiła grzmiąca chmura śmiechu, szła razem ze mną, i nie mogłem się wyrwać z tego koła szalonej wesołości. Chwilami sam byłem porwany tym wirem: krzyczałem, śpiewałem, tańczyłem, a cały świat kręcił mi się w oczach jak pijany. Jak bardzo dalekim jednak był dla mnie ten świat! Jak bardzo samotnym byłem pod tą maską!

Nareszcie dali mi spokój. Z gniewem i strachem, z przekleństwem i tkliwością spojrzałem na nią i powiedziałem:

— To ja.

Gęste rzęsy podniosły się powoli, ze zdziwieniem; cały snop czarnych promieni lunął na mnie i dźwięczny, wesoły, jaskrawy jak wiosenne słońce śmiech był odpowiedzią.

— Tak, to ja. To ja! — powtarzałem z uśmiechem. — Dlaczego pani nie przyszła dziś?

Ale ona śmiała się ciągle. Wesoło się śmiała.

— Takem się wymęczył. Tak bardzo bolało mnie serce — błagałem o odpowiedź.

Ale ona wciąż śmiała się tylko. Zgasł czarny blask oczu i coraz mocniej rozpalał się uśmiech. To było słońce, ale palące, bezlitosne, okrutne.

— Co pani jest?

— To pan? — wymówiła nareszcie. — O jaki pan śmieszny!

Ramiona mi opadły, głowa się pochyliła — tyle rozpaczy było w mojej pozie. I póki ona z gasnącą zorzą uśmiechu na twarzy patrzyła na mknące koło nas młode, wesołe pary, mówiłem:

— Brzydko tak się śmiać. Czyż pod tą śmieszną maską pani nie czuje żywej, cierpiącej twarzy — przecież włożyłem ją po to tylko, żeby zobaczyć panią. Pozwoliła mi pani wierzyć w miłość, a teraz tak prędko, tak okrutnie zabiera wszelką nadzieję. Dlaczegoś

nie przyszła? Prędko z usprawiedliwieniem na miłych ustach, obróciła się ku mnie — i okrutny śmiech wszechwładnie opanował nią znowu.

Płacząc prawie, zakrywając twarz koronkową, pachnącą chusteczką, ledwie mogła powiedzieć:

— Niech pan spojrzy na siebie. Tam jest lustro... O jaki pan...

Ściągając brwi, ściskając zęby, czując jak cała krew odpływa mi od głowy, spojrzałem w lustro — patrzyła na mnie idyotycznie spokojna, niewzruszona, obojętna, nieludzko martwa twarz. I ja zacząłem się śmiać. I z niepewnym jeszcze śmiechem, ale już z dreszczem wezbranego gniewu, z szaleństwem rozpaczy w głosie mówiłem, krzyczałem prawie:

— Pani nie powinna się śmiać!

A kiedy zamilkła, począłem cichutko mówić o mojej miłości. Nigdy nie mówiłem z taką siłą. O męce oczekiwania, o trujących łzach szalonej zazdrości i tęsknoty, o duszy

mojej, w której wszystko było miłością... Widziałem, jak spuszczone nagle rzęsy rzuciły ciemny cień na pobladłe policzki. Widziałem, jak przez matową białość zaczyna się przebijać czerwony odblask ogarniającego ją ognia, i jak całe jej giętkie ciało bezwolnie pochylało się ku mnie. Była w stroju bogini nocy i cała tajemnicza, niby mgłą okryta czarnemi koronkami; błyszcząca brylantami gwiazd, piękną była jak zapomniany sen dalekiego dzieciństwa.

Mówiłem — łzami nabrzmiały oczy i radością ściskało się serce. I zobaczyłem, zobaczyłem nareszcie, jak miły rzewny uśmiech rozchylił jej usta i drgnąwszy, podniosły się rzęsy. Powoli, trwożliwie z nieskończoną ufnością obróciła ku mnie główkę, i.....

Takiego śmiechu nie słyszałem nigdy!

— Nie, nie, nie mogę — jęczała prawie, i odrzuciwszy głowę, znowu wybuchnęła dźwięczną kaskadą śmiechu.

O, gdyby mi choć na chwilę dali ludzką

twarz! Zagryzałem usta, gorące łzy płynęły mi pod maską, a ona, ta idyotyczna fizyognomia, co miała wszystko takie poprawne — nos, oczy i usta, patrzyła z niewzruszoną, okropną obojętnością. I kiedy odchodziłem kulejąc w swych kolorowych butach, długo jeszcze dolatywał do mnie głośny śmiech, jak gdyby z niezmiernej wysokości padał srebrzysty strumyk wody i z wesołym śpiewem rozbijał się o twardą skałę.

IV.

Wracaliśmy do domu sennemi ulicami, budząc ciszę nocną rzeźkimi, podnieconymi głosami, a kolega mój mówił:

— Miałeś kolosalne powodzenie. Nie widziałem nigdy, żeby się kto tak śmiał. Czekaj, co robisz, poco zrywasz maskę. Koledzy! on zwaryował. Patrzcie rozdziera swój strój! Płacze!

twarz. Zasłaniałem usta, gorące [illegible] pragnie-
ni pod maską, a oczy ta [illegible] fizjogno-
mia, co może wszystko także pozostawić [illegible]
nią, oczy i usta, [illegible]
okropną [illegible], które [illegible]
kolejno w wielkich kolorowych [illegible], długo
jeszcze stoją, aż do [illegible] jak
gdyby z [illegible] gdzieś [illegible]
[illegible] i wesołym śpiewem [illegible]
tuli się o gwarną salę.

VI

Wracaliśmy do domu jesiennymi ulicami,
budząc ciszę nocną [illegible]
głosami, a kolega mój zauważył:
— Miałeś kolosalne powodzenie. Nie wi-
działem nigdy, żeby ślicznie tak tańczył. Cóż
to robisz, przez cały wszak czas [illegible] Kolego!
[illegible] swój strój
Pierrota.

Z TAJEMNEJ ODDALI

I.

Cztery tygodnie już mieszka w domu — i cztery tygodnie panuje tam strach i niepokój. Wszyscy starają się zachowywać i mówić tak, jak się zachowywali i mówili zwykle, nie uważając, że słowa ich brzmią głucho, a oczy patrzą trwożliwie i często zwracają się w stronę przeznaczonego dlań pokoju. W przeciwległym do owego pokoju końcu domu stukają nienaturalnie głośno nogami i tak samo nienaturalnie głośno się śmieją, ale jeżeli się komu zdarzy przechodzić koło białych drzwi, cały dzień zamkniętych z wewnątrz i tak głuchych, jak gdyby za niemi nie było nic żywego, to zwalnia kroku i całem ciałem pochyla się naprzód, niby oczekując na cios jakiś. I chociaż przechodzący stawali na podłogę całą stopą, kroki ich jednak były tak

lekkie i bez szmeru, jak gdyby szli na palcach.

I nikt nie nazywał go po imieniu, tylko poprostu »on«, a że wszyscy każdej chwili myśleli o nim, więc ta nieokreślona nazwa wydawała się jaśniejszą, niż całe imię, i nikogo nie wprowadzała w błąd. Wydawało się niegodnem i zbyt poufałem nazywać go tak, jak się nazywa innych; a słowo »on« dokładnie i ostro wyrażało strach, jaki wzbudzała jego wysoka, pochmurna postać. I tylko stara babunia, mieszkająca na górze, nazywała go Kola, jakkolwiek tak samo odczuwała cały ten dziwny strach przed nieodzownem nieszczęściem i to ostateczne napięcie nerwów, które ogarnęło cały dom. I babunia płakała często.

Pewnego razu zapytała służącą Kacię, dlaczego panienka nie gra dziś na fortepianie, ale Kacia ze zdziwieniem spojrzała na nią i nic nie odpowiedziała, a odchodząc kiwała tylko głową, nie aprobując samego pytania.

Przyszedł w szare listopadowe południe, kiedy wszyscy byli w domu i siedzieli przy herbacie, z wyjątkiem Piotrusia, który dawno już poszedł do gimnazyum. Na dworze było zimno, i obwisłe, ciężkie chmury siały deszcz, tak że mimo dużych okien w wysokich pokojach było ciemno, a w niektórych paliło się nawet światło. Dzwonek był ostry i mocny, drgnął nawet sam Aleksander Antonowicz, i myśląc, że przyszedł ktoś bardzo dostojny, powoli poszedł na spotkanie, strojąc swą okrągłą i poważną twarz w uprzejmie-czuły uśmiech. Ale ten znikł natychmiast, bo w ciemnawym przedpokoju stał biednie i brudno ubrany człowiek, a przed nim strapiona służąca nieśmiało broniła wejścia do dalszych pokoi.

Prawdopodobnie z dworca szedł pieszo i czasem tylko jechał tramwajem, bo króciutkie, wyszarzałe palto było mokre, a spodnie u dołu zachlapane i sztywne od wody i błota. I głos miał zachrypnięty, nizki,

czy to skutkiem wilgoci i przeziębienia, czy też skutkiem długiego milczenia w trzęsącym wagonie.

— Dlaczego panna nie odpowiada? Pytam, czy Aleksander Antonowicz Barsukow w domu? — powtórzył obcy raz jeszcze swoje pytanie.

Ale odezwał się sam Aleksander Antonowicz. Nie wchodząc do przedpokoju, przelotnie spojrzał na stojącego i, przeczuwając w nim jednego z tych wielu, co to chodzą »po prośbie«, powiedział ostro:

— Czego pan sobie życzy?

— Nie poznałeś, ojcze? — trochę ironicznie, ale drżącym głosem spytał tamten. — A przecież jestem Mikołaj — Aleksandrowicz.

— Jaki Mikołaj? — cofnął się Aleksander Antonowicz.

Ale przed zadaniem pytania wiedział już, jaki Mikołaj stoi przed nim. Powaga zniknęła z jego twarzy, a na jej miejsce wystąpiła straszna starcza bladość, podobna do śmierci,

a ręce podniosły się do piersi, która nagle przestała oddychać. Następnym, równie gwałtownym ruchem, obie ręce objęły Mikołaja i siwa, zimna broda dotknęła czarnej, mokrej bródki, a stare, nienawykłe do pocałunków usta szukały młodych, świeżych i z nienasyconą chciwością tuliły się do nich.

— Poczekaj, ojcze, pozwól mi się rozebrać — miękko mówił Mikołaj.

— Przebaczyłeś, przebaczyłeś? — dygotał na całem ciele Aleksander Antonowicz.

— No, cóż znowu! — srogo, poważnie powiedział Mikołaj, odsuwając zlekka ojca. — Jakież tam znów przebaczenie?

Kiedy wchodzili do stołowego pokoju, Aleksander Antonowicz zawstydził się porywu, któremu z taką niepowstrzymaną siłą uległo jego dobre serce. Ale radość z powodu spotkania, chociaż zatruta, wzbierała mu w piersi i szukała wyjścia, a widok syna, który tułał się niewiadomo gdzie w ciągu siedmiu lat, nadawał krokom jego lekkość i młodość,

a ruchy czynił porywczymi i pozbawionymi zwykłej powagi. I roześmiał się serdecznie, kiedy Mikołaj stając przed siostrą i zacierając zziębnięte ręce, zapytał:

— A ta panienka — to siostrzyczka? — tak?

Nitoczka, siedemnastoletnie dziewczę, bladziutka i chudziutka, stała przy swojem krześle i zmieszana przebierała palcami po stole, nie odrywając od brata swych dużych, przerażonych oczu. Domyśliła się, że to Mikołaj, którego pamiętała lepiej niż sam ojciec nawet, i nie wiedziała co tu począć teraz. I kiedy Mikołaj zamiast pocałunku ścisnął jej rękę, odpowiedziała tak samo mocnym uściskiem i o mało nie dygnęła po pensyonarsku.

— A ten pan — student — Andrzej Jegorowicz — korepetytor Piotrusia, przedstawiał Aleksander Antonowicz.

— Piotruś? — zdziwił się Mikołaj — więc on się już uczy? Osobliwości!

Potem zapoznał się z damą o ostrej twarzy,

która nalewała herbatę i którą nazywano poprostu Anną Iwanowną. Potem wszyscy poczęli chciwie oglądać go, a on ze swej strony oglądał pokój, badając czy się tu co nie zmieniło przez te siedem lat.

Coś dziwnego było w nim, nie dającego się określić. Wysoki wzrost, dumny zwrot głowy, przeszywające spojrzenie czarnych oczu przypominały młodego orła. Dziką swobodą wiało od fantastycznie rozrzuconych włosów; drgającą zgrabnością drapieżnika, wysuwającego pazury, dyszały wszystkie ruchy jego, pewne, lekkie, ciche, i ręce bez wahania znajdowały i brały to co im było potrzeba. Jak gdyby nie zdając sobie sprawy z sytuacyi, patrzał w oczy każdemu głęboko i spokojnie, ale nawet i w tych chwilach, kiedy spojrzenie było ciepłe, dobre, czuło się w nim coś utajonego i niebezpiecznego, co się widzi zwykle w oczach łaszącego się drapieżnika. Mówił rozkazująco i prosto, widocznie nie dobierając słów, jak gdyby to nie były błędne,

nieświadomie kłamliwe dźwięki mowy ludzkiej, ale bezpośrednio brzmiała sama myśl. Uczucie pokory nie mogło mieć miejsca w duszy takiego człowieka.

Ale jeżeli to był orzeł, to pióra jego ogromnie się zgniotły w potyczce, z której prawdopodobnie nie wyszedł zwycięzcą. Świadczyło o tem ubranie, w którem sypiał najwidoczniej — brudne, niedopasowane do ciała; i w ubraniu tem było coś niepochwytnie drapieżnego, niepokojącego, coś co zmuszało wszystkich dobrze ubranych ludzi doświadczać uczucia niejasnej obawy.

A chwilami całe to wysmukłe, silne ciało drgnęło gwałtownie, jakby dotknięte dziwną bojaźnią, kurczyło się całe, a włosy zdawały się powstawać na głowie, jak u najeżonego zwierzęcia, a oczy prędko i gniewnie obiegały wszystkich obecnych. Pił i jadł chciwie, jak człowiek, który długo się głodził, albo który zawsze nie dojadał i dlatego mógł jeść w każ-

dej chwili i wszystko co podawano do stołu. A kiedy wreszcie skończył, powiedział:

— Osobliwości! i uśmiechając się ironicznie, pogładził się ręką po brzuchu. Cygara od ojca nie wziął, ale poprosił studenta o papieros — sam nie miał widocznie nawet tytoniu, i rozkazał:

— No, opowiadajcie!

Opowiadać zaczęła Ninoczka właśnie o tem jak skończyła pensyę i jak się jej tam powodziło. Z początku miała tremę, ale że opowiadała to wszystko już nieraz, więc prędko odzyskała równowagę, przypomniała sobie wszystkie dowcipy i była bardzo zadowolona z siebie. Mikołaj niby słuchał, niby nie; uśmiechał się, ale nie zawsze w tym miejscu, gdzie był dowcip, i przez cały czas opowiadania oglądał pokój swemi wypukłemi oczyma. Czasem przerywał mowę zupełnie nieodnoszącem się do rzeczy pytaniem.

— Wieleś zapłacił za ten obraz? — pytał

milczącego i też trochę pobłażliwie uśmiechniętego ojca.

— Nie pamiętam.

— Dwa tysiące — z wielkim szacunkiem dla takiej sumy — odezwała się milcząca dotąd Anna Iwanowna i trwożliwie spojrzała na pana domu.

Uśmiechnęli się obaj — ojciec i syn, i w uśmiechu tym błysnęło coś wrogiego. Teraz Aleksander Antonowicz nie był już taki zakłopotany: odzyskał swoją zwykłą srogość i powagę.

— A interesy? tak samo lakonicznie pytał Mikołaj ojca.

— Nieźle. Idą.

— Nowy dom pan kupił na Italiańskiej — trzypiętrowy; i fabrykę kupił, prawie szeptem powiedziała Anna Iwanowna. Truchlała przed panem, ale nie mogła się powstrzymać, bo ciągle trapiło ją porównywanie swego kapitaliku — 556 rubli, złożonego do kasy oszczędności i kapitałem Barsukowa, który miał domy, fabryki i akcye.

— No, Ninoczka, mów dalej — powiedział Mikołaj.

Ale Ninoczce już się dawno sprzykrzyło. Znowu dostała kłucia w boku i siedziała chudziutka, blada, prawie przezroczysta, ale dziwnie piękna i wzruszająca, jak skazany na uwiędnięcie kwiat. I wiało od niej jakiemiś lekkiemi perfumami, przypominającemi żółknącą jesień i piękne umieranie. Nieśmiały, ospowaty student uważnie śledził ją i tak samo bladł w miarę tego, jak znikały barwy z twarzy Ninoczki. Był medykiem, a przytem kochał Ninoczkę pierwszą miłością.

Ale w tej chwili zjawił się Tenogen Iwanowicz, stary lokaj. Oblicze jego wyjrzało z drzwi, niby wschodzący księżyc, a było tak samo szerokie, czerwone i pozbawione zarostu. Był w łaźni, potem wypił trochę i wróciwszy do domu, dowiedział się od służącej o przybyciu panicza, z którym kiedyś bawił się w koniki. Płacząc trochę czy z racyi wódki czy z miłości naciągnął frak, wyperfumował ły-

sinę, jak to robił pan, i powoli poszedł do stołowego pokoju. Przy drzwiach postał trochę i z uroczyście wydętymi policzkami, niby na spotkanie samego gubernatora, zjawił się przed Mikołajem.

Tenogenku, — wesoło krzyknął Mikołaj i głos mu zabrzmiał jak u dziecka.

— Paniczu! — jęknął Tenogen i przewracając krzesła, rzucił się do Mikołaja. Z początku miał zamiar pocałować go w ramię, ale że Mikołaj wyciągnął rękę do uścisku, Tenogen z godnością odchylił się w tył i odpowiedział mocnym aż do bólu uściskiem. Pozwalał sobie myśleć, że nie jest sługą, ale przyjacielem Mikołaja i kontent był, że mu przyznano tę godność przy wszystkich. Ale pocałować się jednak trzeba było koniecznie.

— I nadobitek wstawiony jak zwykle! — z wesołem zdumieniem na widok stałości przyzwyczajeń Tenogena, powiedział Mikołaj.

— Czyż tak? — srogo odezwał się Aleksander Antonowicz.

Kręcąc przecząco głową, Tenogen Iwanowicz grzecznie cofał się tyłem i wywracał oczy, żeby zobaczyć gdzie są drzwi, ale mimo to trafił wpierw na ścianę i stamtąd dopiero poomacku doszedł do drzwi. Wszystko to zabrało dość dużo czasu. W przedpokoju Tenogen Iwanowicz zatrzymał się z czułością, obejrzał rękę, którą uściskał Mikołaj i niosąc, ją przed sobą, jak coś zupełnie mu obcego, kosztownego, mogącego się stłuc, ruszył do kuchni.

Wogóle szanował się bardzo, ale w tej chwili najszanowniejszą cząstką jego ciała była prawa ręka.

Tego dnia Aleksander Antonowicz nie pojechał do biura. Po obiedzie, przy którym pił dużo wina, wpadł w jasny, miękki nastrój. Objąwszy Mikołaja wpół, zaprowadził go do biblioteki, zapalił cygaro i, przygotowując się do długiego słuchania, powiedział dobrodusznie:

— No, teraz odpowiadaj, gdzieś był, coś robił? Mikołaj nie odpowiedział odrazu. Ciało mu znowu drgnęło dziwnem przerażeniem, a oczy pobiegły ku drzwiom, ale głos był spokojny, poważny:

— Nie, ojcze, proszę cię nie mówmy o moich przygodach.

— Widziałem, że masz woreczek zagranicznej roboty. Czyś był zagranicą?

— Byłem — krótko odpowiedział Mikołaj — Ale dość ojcze.

Aleksander Antonowicz ściągnął brwi i wstał z kanapy. Założywszy ręce z tyłu pod tużurkiem, przeszedł się po pokoju, i nie patrząc na syna, powiedział:

— Zawsześ ten sam? —

»Jak widzisz. A ty ojcze?«

— Jak widzisz. Idź, muszę pracować.

Kiedy Mikołaj wyszedł, Aleksander Antonowicz zamknął drzwi za nim, obejrzał się, podszedł do kominka i milcząc mocno uderzył ręką po białej, lśniącej kafli. Potem

wytarł chustką rękę, do której przylgnął biały pasek wapna i siadł do pracy. I znowu twarz jego zbladła straszną bladością, co przypominała śmierć.

Nikt nie widział pierwszego spotkania się Mikołaja z babunią, ale wyszedł od niej pochmurny i jak gdyby wzruszony. Wszyscy poczuli ulgę, kiedy za Mikołajem zamknęły się białe drzwi jego pokoju, ale od tej chwili przestał być gościem, i od tej chwili zjawiła się ta dziwna trwoga, co rosła, potężniała i wkrótce objęła cały dom. Niby do domu wszedł i na zawsze zajął w nim miejsce ktoś tajemniczo niebezpieczny, więcej obcy, niż pierwszy lepszy z ulicy i straszniejszy, niż zaczajony morderca. I tylko jeden Tenogen Iwanowicz nie uczuł tego, bo z radości wypił jeszcze i teraz spał w łóżku kucharza, we śnie nawet zachowując dostojny układ szanującego się człowieka, i zdaleka od siebie trzymając prawą rękę.

W salonie Ninoczka cicho opowiadała stu-

dentowi o tem, jak było siedem lat temu. Wtedy Mikołaj za jakąś sprawę wyrzucony był z instytutu technologicznego i tylko stosunki ojca ochroniły go od większej kary. Podczas gorącej dysputy z synem, która miała miejsce wtedy, gwałtowny Aleksander Antonowicz uderzył go i tegoż wieczora Mikołaj wyszedł z domu i nie wrócił aż dziś dopiero... I oboje — opowiadająca i słuchacz — kiwali głowami, zniżali głos, a student dla dodania odwagi Ninoczce wziął nawet jej rękę w swoją i pieścił.

II.

Mikołaj nie przeszkadzał nikomu, sam mówił mało, a innych słuchał chętnie, ale z jakąś pobłażliwą obojętnością, jak gdyby z góry wiedział, co może usłyszeć. W połowie opowiadania wychodził nieraz, a przez cały czas taki miał wyraz twarzy, jak gdyby przysłuchiwał się czemuś dalekiemu co silne było i wielkiej miary, a dostępne

dla niego tylko jednego. Z nikogo się nie śmiał i nie stawiał żadnych zarzutów, ale gdy wychodził z biblioteki, gdzie przesiadywał większą część dnia, i w roztargnieniu błąkał się po wszystkich pokojach, zaglądając do kuchni, do siostry, do studenta, rozsiewał chłód po całej swej drodze i zmuszał ludzi myśleć o sobie tak, jak gdyby w tej chwili właśnie popełnili coś bardzo złego a nawet występnego i zaraz mają ich sądzić, karać. Teraz ubrany był bardzo dobrze, ale i w eleganckim stroju nie harmonizował z wspaniałym przepychem pokoi, osobno stał, zawsze obcy i wrogi wszystkiemu. I gdyby te kosztowne rzeczy zdobiące mieszkanie, umiały czuć i mówić, powiedziałyby, że umierają ze strachu, kiedy on zbliża się do nich, albo bierze do rąk którą z nich i ogląda z dziwną ciekawością. Nigdy nic nie uszkodził i stawiał rzecz na miejsce zupełnie tak samo, jak stała, ale dotknięcie jego ręki jak gdyby odbierało wytwornemu cacku całą wartość

że stawało się pustem, zupełnie zbytecznem. Dusza tych rzeczy, stworzona sztuką, topniała w jego ręku, a zostawał tylko niepotrzebny kawałek bronzu, albo gliny.

Pewnego razu przyszedł Mikołaj do Ninoczki w chwili, kiedy ona odrabiała lekcyę malarstwa. Kopiowała właśnie z jakiegoś obrazu, dobrze zachowując podobieństwo, postać żebraka, proszącego o jałmużnę.

— Maluj, Nina. Nie będę ci przeszkadzał, powiedział, siadając obok na niziutkiej kanapie. Ninoczka uśmiechnęła się trwożliwie i przez jakiś czas wodziła pędzlem po płótnie, biorąc ciągle nie te farby, które było potrzeba.

Odrzuciła wreszcie, mówiąc:

— Zmęczona jestem; podoba ci się?

— »Tak, dobre. Ty i grasz też dobrze«.

To zimne uznanie zraziło wrażliwą Ninoczkę. Przechyliwszy głowę na bok, krytycznie obejrzała swoje płótno i westchnęła.

— Biedny żebrak. Żałuję go. A ty?

— Tak i ja też.

— Należę do dwóch dobroczynnych towarzystw. Bardzo dużo zajęcia — powiedziała gorąco.

— Cóż wy tam robicie? — obojętnie zapytał Mikołaj.

Ninoczka zaczęła opowiadać szczegółowo, potem coraz zwięźlej, aż wreszcie zupełnie zamilkła. Mikołaj nie przerywał jej, przerzucał album, do którego znajomi Ninoczki wpisywali wiersze.

— Chciałam wyjechać na wyższe studya, ale papa nie pozwala — nagle powiedziała Ninoczka, szukając sposobu zajęcia uwagi brata.

— Dobra rzecz. I cóż?

— Papa nie pozwala. Ale dopnę swego. Mikołaj wyszedł, a w piersi Ninoczki zrobiło się pusto i tęskno. Odrzuciła album, smutno spojrzała na zaczęty obraz, który wydał się jej obrzydliwym bezmyślnym, niczem. I nie-

zdolna zapanować nad impulsywnością chwili, wzięła pędzel i na krzyż przekreśliła płótno niebieską farbą, odcinając przytem żebrakowi pół głowy.

Od pierwszego dnia, kiedy Mikołaj na powitanie, zamiast pieszczoty, ścisnął tylko jej rękę, pokochała go. Ale gdyby był pocałował ją wtedy, Ninoczka otworzyłaby przed nim całe swe malutkie, ale już obolałe serduszko, »w którem raz śpiewały małe wesołe ptaszki, to znowu krakały czarne kruki«, jak pisała w swoim pamiętniku. I pamiętnik ten byłaby mu oddała — a w pamiętniku na każdej stronie opowiadało się o tem, jaką nieszczęśliwą i nikomu niepotrzebną jest Ninoczka. Przypuszczał, że jest zadowoloną ze swego malowania, muzyki, dobroczynności — mylił się... Nie chce już ani malowania, ani muzyki, ani dobroczynności!

Śmiał się Mikołaj tylko podczas lekcyi studenta z Piotrusiem, a Piotruś nienawidził go za ten śmiech. W obecności starszego

brata tak wysoko podnosił kolana, że o mało nie leciał na podłogę wraz z krzesłem, mrużył pogardliwie oczy, dłubał w nosie, chociaż wiedział wybornie, że tego robić nie należy, i obojętnie mówił studentowi niemożliwe impertynencye. Ospowata twarz korepetytora zalewała się krwią i potniała, był blizki płaczu i po wyjściu Piotrusia skarzył się, że chłopak wcale nie chce się uczyć.

— Nie wiem co z niego będzie — mówił student. Teraz służąca już mi mówiła, że jej głupstwa gada.

— Łotr będzie — z jakimś dziwnym spokojem określił Mikołaj przyszłość brata.

— Męczę się z nim, nerwy szarpię, a korzyści żadnej prawie — szlochał student, przypominając długi szereg upokorzeń i wstydu, kiedy chciałoby się zapaść pod ziemię, albo wytłuc ucznia.

— Niech pan rzuci...

— A jeść trzeba przecież — w rozpaczy zawołał Andrzej Jegorowicz.

— A więc niech pan je, co dadzą...

Ale w dysputy ze studentem Mikołaj nie wdawał się nigdy, mimo że tamten nieraz wielką chęć miał do nich.

I Ninoczka i Andrzej Jegorowicz próbowali zgadywać, kim właściwie jest Mikołaj, i wyobraźnia ich tworzyła tak fantastyczne obrazy, że wreszcie zaczynali się śmiać, ale po chwili już poważnieli i znowu najwięcej fantastyczne przypuszczenia wydawały się prawdopodobnemi. Na drugi dzień oboje ze strachem i niezmierną ciekawością czekali na ukazanie się Mikołaja, myśląc, że dziś właśnie rozstrzygnie się to męczące pytanie. Ale Mikołaj wychodził ze swego pokoju, a pytanie ciągle było tak samo dalekiem od rozwiązania.

Szczególniej jaskrawe i nieprawdopodobne były przypuszczenia, robione w kuchni. Naturalnie, przodował w opowiadaniach Tenogen Iwanowicz. Kiedy był trochę podpity, fantazya jego pracowała niepochwytnie i tworzyła

takie obrazy, przed którymi on sam stawał przerażony, niepewny.

— To — zbójca! — powiedział pewnego razu, i czerwona twarz jego zbladła ze strachu.

— Cóż znowu, zbójca — nie uwierzył kucharz, ale też obejrzał się na drzwi.

— Który zabija i rabuje tylko bogatych — poprawił się Tenogen Iwanowicz, bo kiedyś od samego Mikołaja, będącego wtedy dzieckiem jeszcze, słyszał o istnieniu takich zbójców.

— Poco by miał rabować, kiedy ojciec nie wie, co robić z pieniędzmi? — powątpiewał stangret — człowiek bardzo stateczny.

— Trzy fabryki, cztery domy, akcye codzień obcina, — szeptała Anna Iwanowna, która miała teraz w kasie już całe 560, bo cztery ruble zaniosła tam onegdaj.

Przypuszczenia Tenogena Iwanowicza runęły. Anna Iwanowna przeszukała wszystkie rzeczy Mikołaja i nic nie znalazła, prócz bielizny. I właśnie to, że nic nie znalazła prócz bielizny, lękało i zatrważało najwięcej. Gdyby

w walizce były fuzye, kule i noże, a Mikołaj rzeczywiście mógł być kreowany na zbójcę, to byłoby mniej straszne, niż nie znać zajęcia człowieka, tak bardzo niepodobnego do innych ludzi z ruchów ani z twarzy: słucha ale sam nic nie mówi i patrzy na wszystkich jak kat.

Trwoga rosła i przechodziła w zabobonny strach, lodowatą falą prześlizgujący się przez cały dom.

Podsłuchano krótką rozmowę Mikołaja z ojcem, i strach nietylko się nie rozproszył, ale, przeciwnie, jeszcze więcej zgęstniała mglista atmosfera niepewności i tajemnicy.

— Powiedziałeś kiedyś, że nienawidzisz naszego życia — dobitnie wymawiając każde słowo, pytał ojciec. — Czy i teraz nienawidzisz go tak samo?

Spokojnie i wolno brzmiała poważna odpowiedź Mikołaja:

— Tak, nienawidzę go — od dna aż do szczytu. Nienawidzę i nie rozumiem.

— Czyś znalazł lepsze?

— Tak, znalazłem. Tak, znalazłem — silnie powtórzył Mikołaj.

— Zostań z nami!

— To niemożliwe, ojcze. Wiesz o tem.

— Mikołaju! — rozległo się ostre wyzwanie Aleksandra Antonowicza. I po chwili ciężkiego milczenia cicha i trochę smutna odpowiedź Mikołaja:

— Zawsze jesteś taki sam, ojcze. — Gwałtowny i — dobry.

Święta Bożego Narodzenia w tym bogatym domu nadchodziły smutne i bezradosne. Obecność człowieka, który w niczem nie podzielał myśli i uczuć otaczających go ludzi, czarną zmorą wisiała nad wszystkiem i odbierała świętom nietylko ich radosny charakter, ale nawet samą racyę bytu. Zdawało się, że Mikołaj sam odczuwał, jakim ciężarem jest dla innych, i prawie nie wychodził ze swego pokoju — ale niewidzialny wydawał się jeszcze straszniejszym.

Na kilka dni przed świętami przypadkowo zebrało się u Barsukowych trochę gości; Mikołaj nie wyszedł do nich, jak wogóle nie wychodził do nikogo obcego, i ubrany leżał na łóżku, przysłuchując się dźwiękom muzyki. Stonowane grubością ścian, zdawały się melodyjnymi i tkliwymi, jak daleki śpiew czystych i niepokalanych głosów, i tak miękko wpadały do ucha, jak gdyby śpiewało samo powietrze. Mikołaj przysłuchiwał się i przypominał te czasy, kiedy był jeszcze maleńkim, i kiedy żyła matka jego, i goście tak samo schodzili się u nich, a on zdaleka przysłuchiwał się muzyce i marzył — nie obrazami, a czemś innem, w czem obrazy i dźwięki splatały się w jedną całość jaskrawą, a męcząco piękną i zwijały się jak różnokolorowa, śpiewająca wstęga. Rozumiał wtedy, co znaczy ta barwna wstęga, ale nie mógł nikomu tego opowiedzieć, nawet samemu sobie; tylko starał się nie zasnąć jak najdłużej — i jednak zasypiał. Kiedyś zasnął tak, niepostrzeżony

przez nikogo, w przedpokoju na futrach i do dziś pamięta zapach miękkiego, łaskoczącego futra. I znowu dreszcz niepojętego przerażenia przebiegł zimnemi szpilkami po ciele, ale i coś innego, miękkiego i ciepłego rozjaśniło jego twarz i niby pieszczotliwa, delikatna ręka wygładziła ściągnięte brwi. Twarz stała się spokojną i łagodną, jak u zmarłego. I niewiadomo było, czy to jawa czy sen, życie czy śmierć, tylko jedno było pewne: ten człowiek odpoczywał.

Nadeszła wilia, i o zmroku do Mikołaja zjawił się Tenogen Iwanowicz. Był prawie trzeźwy, mroczny i patrzał w bok, a na oczach znać było ślady łez.

— Proszę pana do babci — powiedział ode drzwi.

— Co? — zdziwił się Mikołaj.

Tenogen Iwanowicz westchnął i powtórzył — proszę do babci.

Mikołaj poszedł na górę i zaraz we drzwiach cienkie dziewczęce ramiona objęły

go za szyję; do twarzy zbliżyła się delikatna twarzyczka z szeroko rozwartemi wilgotnemi oczyma, i głos, zdławiony płaczem, szeptał:

— Kola, Kola, jakeś ty nas wymęczył! Kola, Kola, braciszku kochany, pogódź się z ojcem — ze mną. I zostań z nami, Kola, Kola!

I małe, chudziutkie ciałko drżało w jego ramionach, i malutkie, nikomu niepotrzebne serduszko stało się tak wielkiem, że zmieściłoby w sobie cały nieskończenie cierpiący świat.

Mikołaj chmurny, zasępiony rzucił spojrzenie w bok. Z łóżka wyciągały się ku niemu straszne swą anemiczną chudością ręce babuni, i głos, w którym brzmiały już echa innego życia, zachrypniętem, spłakanym jękiem błagał.

— Kola, Kola!

Przy drzwiach płakał Tenogen Iwanowicz. Stracił całą swą dostojność, ciągał nosem, poruszał ustami i brwiami, a łez było tak dużo, taką rzeką płynęły mu po twarzy, jak gdyby

wychodziły nie z oczu, jak u innych ludzi, ale sączyły się ze wszystkich porów ciała.

— Najdroższy mój! Kolusiu! — szeptał błagalnie, wyciągając ręce z przyrośniętą do nich czerwoną chustką.

Mikołaj uśmiechał się bezradnie i boleśnie, nie wiedząc, że i z jego orlich teraz zmąconych oczu padają rzadkie skąpe łezki.

I wtedy z ciemnego kąta wysunęła się drgająca starczem drżeniem głowa tego, kto był jego ojcem i którego on całe życie nienawidził i nie rozumiał.

Teraz zrozumiał przecież.

Z tem samem zapamiętaniem się miłości, jak niegdyś z zapamiętaniem się nienawiści, Mikołaj rzucił się do ojca, pociągając za sobą Ninoczkę. I wszyscy troje złączeni w jeden żywy płaczący kłębek, obnażając serca swoje, wzruszeni, na chwilę stali się jedną wielką istotą, o jednem sercu i jednej duszy.

Zostanie! — zachrypłym, tryumfującym głosem krzyczała stara. — Zostanie!

— Najdroższy mój! Kolusiu! — szeptał błagalnie Tenogen Iwanowicz.

— Tak, tak – mówił Mikołaj, nie rozumiejąc komu i na co odpowiada. — Tak, tak! — powtarzał, całując drżącą starą rękę, która z cichą tkliwością gładziła go po głowie i twarzy.

— Tak, tak! — ciągle jeszcze powtarzał czując jak w duszy wyrasta groźne a niepochwytne, krótkie a miażdzące — nie.

Już zsunęła się noc, i cały duży dom, zaczynając od kuchni a kończąc na salonach do przyjęć, żarzył się wesołem światłem. Ludzie wesoło gwarzyli i głośno się nawoływali, a małe kosztowne, delikatne i niepotrzebne cacka już się nie bały o siebie. Dumnie spoglądały ze swoich podwyższeń na rozbieganych ludzi i bez strachu wystawiały swe piękno, bo zdawało się, że wszystko w tym domu służyło im, klękało przed ich kosztownem istnieniem.

Aleksander Antonowicz, Ninoczka i nawet

student siedzieli jeszcze ciągle w pokoju babuni i albo mówili o swojem szczęściu, albo w milczeniu przysłuchiwali się mu. Tenogen Iwanowicz wypił teraz trochę więcej, wyszedł na ganek, żeby trochę odświeżyć głowę i w chwili, kiedy gładził czerwoną łysinę, na której śnieg topniał, jak na rozpalonej blasze, ze zdziwieniem spostrzegł Mikołaja. Trzymając niewielki saczek w ręku, Mikołaj szedł od strony kuchennych schodów i był bardzo nieprzyjemnie zdziwiony, że spotkał Tenogena.

— A Tenogenku! — powiedział cicho. — No, odprowadź mię do bramy.

— Najdroższy — w roztargnieniu zaczął Tenogen.

— Cicho! Tam pomówimy.

Ulica o tej godzinie stała pustkami i oba jej końce gubiły się w białej zadymce wolno i bez szmeru padającego śniegu. Stojąc przed Tenogenem Iwanowiczem i prosto w oczy patrząc mu swemi wypukłemi, błyszczącemi oczami, Mikołaj położył mu rękę na ramieniu

i powiedział wolno, jak gdyby nauczając dziecko.

— Powiedz ojcu, że Mikołaj Aleksandrowicz kazał się kłaniać i powiedzieć, że odchodzi.

— Dokąd?

— Poprostu odchodzi. Bądź zdrów — Mikołaj poklepał lokaja po ramieniu i poszedł. Ale Tenogen Iwanowicz wiedział bez słów dokąd idzie jego panicz i całą siłą, jaką miał jeszcze w ręku pochwycił go.

— Nie puszczę! Jak mi Bóg miły, nie puszczę!

Mikołaj odtrącił go i ze zdziwieniem patrzał. Ale Tenogen Iwanowicz złożył błagalnie ręce i płaczącym głosem prosił:

— Kolusiu, przyjacielu jedyny! Rzuć to wszystko, nie odchodź. I cóż tam? Pieniądze są. Trzy fabryki. Domy. Akcye codzień odcina — bezmyślnie powtarzał słowa gospodyni.

— Co ty pleciesz?

Mikołaj sposępniał i odszedł prędko. Ale Tenogen Iwanowicz, taki świąteczny w swym nowym fraku i taki rozklekotany niby zgnieciony, biegł za nim, chwytał go za ręce i błagał:

— Więc i ja razem. I mnie zabierz. Cóż, jak Boga kocham — do zbójców to do zbójców — i Tenogen Iwanowicz rozpacznie machnął ręką, żegnając świat uczciwych ludzi.

Mikołaj zatrzymał się i spojrzał na lokaja, a we wzroku tym błyszczało coś tak strasznego, lodowato okrutnego i rozpacznego, że język Tenogena Iwanowicza skołowaciał i nogi wrosły w ziemię.

Wysoka postać Mikołaja szarzała i zmniejszała się, niby topniejąc w szarej mgle. Jeszcze chwila — i na zawsze skrył się w tej ciemnej tajemniczej dali, skąd tak niespodzianie przyszedł.

I już nic żywego nie widać było na pu-

stej ulicy, a Tenogen Iwanowicz stał ciągle i patrzał, a krochmalony kołnierzyk koszuli rozmiękł i przylepił mu się do szyi. Śnieg powoli topniał na jego czerwonej, zimnej teraz łysinie i razem ze łzami spływał po szerokiej, wygolonej twarzy.

OPOWIADANIE
O SERGIUSZU PIOTROWICZU

I.

W nauce Nietzschego przedewszystkiem uderzyła Sergiusza Piotrowicza idea nadczłowieka i wszystko, co Nietzsche mówił o duchach silnych, wolnych i śmiałych.

Sergiusz Piotrowicz słabo znał język niemiecki, tak jak to się zna ten język po skończeniu gimnazyum, więc czytanie wielkiego filozofa w oryginale przedstawiało nie małe trudności. Pomagał mu w tem Nowikow, kolega Sergiusza Piotrowicza, z którym mieszkał w jednym pokoju w przeciągu dwóch lat ostatnich, i który doskonale władał niemieckim i oczytany był w filozofii. Ale w październiku 189* roku, kiedy do końca przekładu »Tak mówił Zaratustra« zostało już parę rozdziałów tylko, Nowikow wysłany był z Moskwy za skandale i Sergiusz Piotrowicz

bardzo powoli mógł się posuwać w samodzielnych studyach nad Nietzschem, nie ubolewał jednak nad tem i na pamięć po niemiecku uczył się tego, co czytał. Bo w tłómaczeniu, jakkolwiek byłoby dobrem, aforyzmy dużo traciły, stawały się zbyt proste, zrozumiałe, a w ich tajemniczej głębi zdawało się przeświecać dno; ale gdy Sergiusz Piotrowicz patrzał na gotyckie linie niemieckich liter, to w każdym wierszu, prócz właściwego sensu, widział jeszcze coś, czego nie dałoby się określić słowami, i przezroczysta głębia ciemniała, stając się bezdenną. Czasem przychodziła mu myśl, że jeżeli na świecie zjawi się nowy prorok, to będzie musiał mówić w jakimś obcym języku, żeby go wszyscy zrozumieli. I ostatecznie nie przetłómaczył nigdy końca książki jedynej z utworów Nietzschego, jaką zostawił Nowikow.

Sergiusz Piotrowicz był studentem III kursu przyrody. W Smoleńsku mieszkali rodzice jego, bracia i siostry, z których jedni starsi byli od

niego, inni młodsi. Najstarszy brat był już lekarzem i dobrze zarabiał, ale nie mógł pomagać rodzinie, bo miał już swoją własną. Sergiusz Piotrowicz musiał utrzymać się za piętnaście rubli miesięcznie, ale wystarczało mu to najzupełniej, bo jadał w bezpłatnej kuchni studenckiej, nie palił i mało pił. Kiedy był jeszcze Nowikow, pili razem bardzo dużo, ale to nic nie kosztowało Sergiusza Piotrowicza, bo wszelkie rachunki po pijatyce załatwiał Nowikow, który miał zawsze dobrze płatne lekcye języków. Pewnego razu, z winy tego samego Nowikowa, lubiącego po pijanemu siedzieć na drzewach bulwaru, gdzie mu towarzyszył i Sergiusz Piotrowicz, sędzia pokoju skazał obu na dziesięć rubli kary, i karę zapłacił Nowikow. W stosunkach koleżeńskich było to rzeczą zupełnie naturalną i nikt nie miał co do tego żadnej wątpliwości, prócz samego Sergiusza Piotrowicza. Ale brak pieniędzy był faktem, z którym trzeba się było pogodzić.

Istniały jeszcze inne fakty, z którymi

trzeba było się godzić, i kiedy Sergiusz Piotrowicz głębiej zajrzał w swoje życie, to myślał, że i ono jest faktem z tej samej kategoryi. Był brzydkim — nie odrażającym, ale brzydkim, jak całe setki i tysiące ludzi. Płaski nos, grube usta i nizkie czoło robiły go podobnym do innych i ścierały wszelką indywidualność. Do lustra podchodził rzadko i nawet czesał się po omacku, a gdy przypadkiem spojrzał w lustro, widział przedewszystkiem oczy swoje — mętne, podobne do gęstej grochówki, w którą swobodnie wchodzi nóż, nie natrafiając na nic twardego. Pod tym względem jak i pod wielu innymi odróżniał się od przyjaciela swego Nowikowa, który miał bystre śmiałe oczy, wysokie czoło i doskonale zarysowany piękny owal twarzy. I wysoki wzrost przy takiej brzydkiej głowie wydawał się Sergiuszowi Piotrowiczowi nie żadną zaletą, tylko przeciwnie — wadą i dlatego prawdopodobnie pochylał się przy chodzeniu. Ale ze wszystkich rzeczy

najcięższem było dla Sergiusza Piotrowicza poczucie, że nie jest mądrym. W gimnazyum profesorowie mieli go wprost za głupca — w młodszych klasach wypowiadali to otwarcie. Z powodu jakiejś bardzo bezmyślnej odpowiedzi prefekt nazwał go »jełopem smoleńskim i mohilewskim«; i chociaż przezwisko to nie przylgnęło doń, a stało się imieniem pospolitem każdego niezdolnego ucznia, Sergiusz Piotrowicz nie zapomniał pochodzenia tej nazwy. I w całej klasie podobno on jeden nie miał aż do końca żadnego przezwiska, jeżeli nie rachować imienia »Sergiusz Piotrowicz«, którym tytułowali go wszyscy: nauczyciele, uczniowie i stróże. Nie miał on w sobie nic takiego, do czego można byłoby przypiąć jakieś dowcipne przezwisko. W uniwersytecie koledzy, lubiący wogóle klasyfikować wszystko podług rozumu, zaliczali Sergiusza Piotrowicza do rzędu ograniczonych, chociaż nigdy nie mówili mu tego wprost w oczy, ale on się domyślał sam z tego cho-

ciażby, że nikt nigdy nie zwracał się do niego z jakąś poważną kwestyą, tylko zawsze żartobliwie, ale kiedy w tej samej chwili zjawiał się Nowikow, rozmowa natychmiast przechodziła na temat poważny. Z początku Sergiusz Piotrowicz próbował protestować, i oburzony na to ogólne uznanie go człowiekiem ograniczonym, próbował zrobić, powiedzieć albo napisać coś mądrego, ale to było zawsze tylko śmieszne i nic więcej. Wtedy przekonał się sam, że opinia była prawdziwą i przekonał się już tak mocno, że gdyby cały świat uznał w nim teraz geniusza, nie mógłby w to uwierzyć. Cały świat nie wiedział i nie mógł wiedzieć tego, co Sergiusz Piotrowicz sam wiedział o sobie. Świat mógł usłyszeć od niego mądrą myśl, ale nie mógł wiedzieć, że myśl ta skradziona, albo zdobyta taką pracą, która zupełnie odbierała jej wartość. To co inni przyswajali sobie w lot, kosztowało go ogromnych wysiłków i mimo wszystko, nawet wraziwszy się głęboko

w pamięć, zostawało obcem, dalekiem, jak gdyby to nie była żywa myśl, tylko książka, co przypadkiem dostała się do głowy i raniła mózg swymi kantami. Nadzwyczajne podobieństwo do książki nadawała jeszcze i ta okoliczność, że zawsze obok myśli stawała jasno i wyraźnie stronica, na której myśl ta była wydrukowaną. Te zaś myśli, przy których nie zjawiały się stronice, i które Sergiusz Piotrowicz uważał skutkiem tego za swoje, były tak proste, tak pospolite, niemądre i zupełnie podobne do tysiąca innych myśli na ziemi, jak i twarz jego podobną była do tysiąca innych twarzy.

Ciężko było pogodzić się z tym faktem, ale Sergiusz Piotrowicz jednak się pogodził. W porównaniu z tym inne maleńkie fakty — brak talentów, słabe piersi, niezgrabność, nędza — wydawały się bardzo nieznacznemi.

Nieświadomie Sergiusz Piotrowicz stał się marzycielem, naiwnym i niegłębokim. Raz wyobrażał sobie, że wygrywa 200.000

rub. i podróżuje po Europie, ale więcej ponad to, jak siądzie do wagonu nie mógł sobie już nic przedstawić — bo zupełnie nie miał wyobraźni. To znowuż myśli o jakimś cudzie, który natychmiast uczyni go pięknym, mądrym i niezwykle pociągającym. Po operze wyobrażał siebie śpiewakiem; po pięknej książce — uczonym; wychodząc z galeryi obrazów — malarzem; ale za każdym razem tło stanowił tłum, »oni« — Nowikow i inni, którzy uwielbiają jego piękność albo talent, a on obdarza ich szczęściem.

Kiedy długimi, niepewnymi krokami, spuściwszy głowę w wypłowiałej czapce, Sergiusz Piotrowicz szedł do kuchni studenckiej, nikomu nie przychodziło do głowy, że ten niepokaźny student z płaską ordynarną twarzą w tej chwili posiada wszystkie skarby świata. W jadalni prędko połykał lekki obiadek i usiłował patrzeć w bok, kiedy przechodził znajomy student i oczami szukał

wolnego miejsca. Obawiał się takich spotkań, bo nigdy nie wiedział, o czem ma mówić, a milcząc, doświadczał przykrego uczucia zażenowania. Często powtarzające się marzenia zaczęły nabierać realnych kształtów, ale im jaskrawszą stawała się idea tego, czem mógłby być Sergiusz Piotrowicz, tem trudniej było godzić się z okrutnym faktem — życiem.

Tak samo nieznacznie dokonywało się zerwanie ze światem żywych ludzi, i najmniej domyślał się tego sam Sergiusz Piotrowicz. Z przyzwyczajenia do towarzyskiego życia, datującego się jeszcze z gimnazyum, brał udział we wszystkich studenckich organizacyach i regularnie uczęszczał na zebrania. Tam słuchał mówców, żartował, kiedy z nim żartowano, a potem pisał na kawałku papieru plus albo minus, a najczęściej uchylał się od głosowania, bo nie mógł tak odrazu zdecydować się, po której stronie jest sprawiedliwość. Ale wogóle zdanie jego zwykle nie

odbiegało od postanowień większości i gubiło się w nich. Chodził też czasem Sergiusz Piotrowicz na wizyty i za każdym razem upijał się z gospodarzem domu i innymi gośćmi. Wtedy śpiewał razem z nimi głuchym ryczącym basem, całował się z pijanymi kolegami i jeździł do kobiet. To były jedyne kobiety, jakie znał, a znał je tylko po pijanemu, bo gdy bywał trzeźwym wzbudzały w nim obrzydzenie i strach. Innych kobiet, czystych i dobrych nie szukał, przekonany, że żadna nie będzie chciała polubić go nawet, miał wprawdzie znajome studentki i rumienił się, witając je na ulicy, ale one nigdy nie rozmawiały z tym ograniczonym brzydkim studentem, chociaż wiedziały jak wszyscy, że się nazywa Sergiusz Piotrowicz. W ten sposób nie należał do studentów-samotników, pędzących zamknięte, nikomu niewiadome życie i zjawiających się tylko na egzaminach z masą pisanych konspektów i zmieszaniem na twarzy — ale w rzeczywistości brakowało mu

żywego łącznika z ludźmi, czyniącego towarzystwo ich przyjemnem i niezbędnem. Nie lubił żadnego z tych, z którymi żartował, pił wódkę i całował się.

W chwilach wolnych od marzeń i zajęć koniecznych czytał dużo ale bez wyboru i tylko po to, żeby odpędzić nudę. Właściwie nie lubił czytania — poważnych książek dlatego, że dużo rzeczy w nich nie rozumiał, powieści dlatego, że albo podobne były do życia i smutne jak ono, albo fałszywe i nieprawdopodobne jak marzenia. Mógł marzyć o tem, że wygra miliony, ale gdy czytał o podobnym wypadku w książce, robiło mu się przykro i wstyd za swoje marzenia. Najmniej kłamliwemi wydawały mu się powieści rosyjskie, ale jak bardzo ściskało się serce na myśl, że on jest jednym z takich maleńkich stoczonych życiem ludzi, o których pisane są te grube smutne książki. Istniały jednak dwie powieści — obie w tłómaczeniu — które lubił czytać i to po kilka, kilkanaście razy. Jedną z nich

czytywał w dni smutku i zniechęcenia, kiedy to rozpłakana i tęsknie wzdychająca jesień zagląda do okien i do duszy; ale nie mówił nigdy o tej powieści — wstydził się. To było »80.000 mil pod wodą« J. Verne'a. Pociągała go potężna i żywiołowo swobodna indywidualność kapitana Nemo, uciekającego od ludzi w niedostępne głębiny oceanu i stamtąd jeszcze nie mogącego ziemi dać nic więcej nad dumną pogardę. Drugą książką była »Jeden przeciwko wszystkim« Spielhagena, o tej lubił mówić z kolegami i radował się wielce, o ile oni też entuzyastycznie pochylali głowy przed szlachetnym despotą Leo. Następnie z porady Nowikowa, który zauważył tę miłość Sergiusza Piotrowicza do wielkich ludzi, zaczął czytać ich biografie — z wielkiem zajęciem czytał, ale za każdym razem myślał przy tem: ten nie był takim jak ja. I im więcej poznawał wielkich ludzi, tem mniejszym stawał się sam.

Tak przeżył Sergiusz Piotrowicz do lat

dwudziestu trzech. Na pierwszym kursie obcięli go z fizyki — i odtąd zaczął pracować usilnie, a że na wydziale przyrodniczym zajęcia było niemało, więc czas schodził nieznacznie w żelaznym uścisku pracy. Powoli stępiło się ostrze smutnych rozmyślań o nieudanem życiu, i Sergiusz Piotrowicz zaczął się przyzwyczajać do tego, że jest zwyczajnym, niemądrym i nie oryginalnym człowiekiem. Intelekt Sergiusza Piotrowicza stał na tej linii, która oddziela głupotę od mądrości, jednakowo widzialne są od niej obie strony: i szczytna szlachetność potężnego ducha i szczęście, jakie on daje swemu posiadaczowi — i marna pospolitość zadowolonej ze siebie głupoty, szczęśliwej za swemi grubemi ścianami, niepokonanej jak w twierdzy. Coraz częściej spoglądał w tę stronę i widział, że istnieją ludzie gorsi od niego — i to napełniało duszę jego radością i ukojeniem. Sergiusz Piotrowicz zaczął mniej czytać a więcej pić, pił teraz nie za dużo od razu, jak dawniej, ale kieliszek przed obia-

dem, kolacyą i wogóle każdem jedzeniem, albo po prostu od czasu do czasu w ciągu dnia, podobało mu się to bardziej, bo było tylko przyjemnie i wesoło, a chorobliwe uczucie przepicia się zniknęło.

Latem podczas wakacyj, spędzanych w Smoleńsku, miał pierwszy raz w życiu miłosną historyę, bardzo zabawną dla wszystkich otaczających, ale przyjemną, poetyczną i nową dla niego. Bohaterką była dziewczyna, co przychodziła plewić grzędy w ich ogrodzie, brzydka, głupia i dobra. Sergiusz Piotrowicz nie wiedział, za co go pokochała, i miał dla niej pewną pogardę za tę miłość jej, ale podobały mu się tajemnicze schadzki w ciemnym ogrodzie, szeptanie i niepokój. Jesienią, kiedy wyjeżdżał do Moskwy, płakała, a on poczuł się jakimś innym, dumnym i zadowolonym ze siebie — bo był przecież nie gorszym od wszystkich: miał też kobietę, kochającą go nie za pieniądze i płaczącą przy rozstaniu.

Jak wielu innych, Sergiusz Piotrowicz nie

myślał, że żyje i nie czuł życia, a ono płynęło płytkie, marne i mętne, jak błotnisty strumień. Ale były czasem chwile, kiedy jak gdyby się budził z głębokiego snu i z przerażeniem uświadamiał sobie, że jest ciągle tym samym pospolitym, nic nie znaczącym człowiekiem. Wtedy nocami całemi marzył o samobójstwie, aż póki zła i wymagająca nienawiść do siebie nie przechodziła w spokojne, łagodne rozżalenie. A potem życie opanowywało go znowu, i jeszcze raz powtarzał sobie, że to jest fakt, z którym trzeba się godzić.

W owym właśnie czasie, kiedy zupełne pogodzenie się z faktami stawało się coraz możliwszem i bliższem — zaprzyjaźnił się z Nowikowem. Koledzy nie rozumieli tej dziwnej przyjaźni, bo Nowikow uważany był za najmędrszego, a Sergiusz Piotrowicz za najgłupszego w związku.

Ostatecznie zaczęto przypuszczać, że samolubny i próżny Nowikow chce mieć przy

sobie lustro, odbijające jego błyszczącą inteligencyę, i śmiano się, że wybrał sobie takie krzywe i tanie lustro. Zapewnienia Nowikowa, że Sergiusz Piotrowicz wcale nie jest tak głupim, jak się zdaje, uważano za wyraz tegoż samolubstwa. Możliwe, że mieli racyę koledzy Nowikowa, ale ten ostatni był tak wytworny i taktowny w przejawach swojej wyższości, że Sergiusz Piotrowicz przywiązał się do niego. I to był pierwszy człowiek, którego kochał i pierwszy przyjaciel, którego dało mu życie. Był dumny z Nowikowa, czytał książki, które czytał tamten, pokornie chodził za nim do restauracyi, właził na drzewa i myślał o szczęściu, pozwalającem mu być przyjacielem człowieka, którego los wybrał do spraw wielkiej miary.

Ze zdziwieniem, czci pełnem, śledził pracę płomiennego ducha Nowikowa, zostawiającego za sobą, niby słupy wiorstowe, filozoficzne, historyczne i ekonomiczne teorye i śmiało dążącego naprzód, ciągle naprzód.

Litości godnym truchtem wlekł się za nim Sergiusz Piotrowicz, aż się przekonał, że z każdym dniem zostaje coraz więcej w tyle. To była ciężka chwila, kiedy Sergiusz Piotrowicz, chcący zatopić swoje »ja« w obcem, głębokiem i silnem »ja«, zrozumiał, że to niemożliwe, i że tak samo dalekim jest od swego przyjaciela, z którym mieszkał, jak od tych wielkich, o których czytał. Dopomógł do zrozumienia tego Nietzsche, którego mu wskazał znowuż ten sam Nowikow.

II.

Kiedy Sergiusz Piotrowicz przeczytał pierwszą część »Tak mówił Zaratustra«, wydało mu się, że wśród nocy jego życia weszło słońce.

Ale to było północne, smutne słońce i rozświetliło nie obraz radości, a zimną, martwą smutkiem pustynię, jaką była dusza i życie Sergiusza Piotrowicza. A jednak to było światło, i ucieszył się z tego światła, jak nigdy

w życiu dotąd. W owych niezbyt odległych czasach, o których mowa, o Nietzschem mało kto wiedział w Rosyi, a pisma ani słówka nie mówiły o nim. I to głębokie milczenie, jakiem owiany był Zaratustra, robiło słowa jego znaczącemi, silnemi i czystemi, jak gdyby spadały na Sergiusza Piotrowicza wprost z nieba. Nie wiedział i nie myślał o tem, kim właściwie jest Nietzsche, czy jest starym czy młodym, żyje czy już umarł. Widział tylko przed sobą myśli zakute w srogą, mistyczną formę gotyckich liter, i to oderwanie myśli od mózgu, co je stworzył, od wszelkiego konkretu, towarzyszącego ich narodzinom, utrwalało ich boskość i wieczność. Jak płomiennie wierzący, młody kapłan, do którego zstąpiło długo oczekiwane bóstwo, ukrywał je przed obcemi spojrzeniami i doświadczał bólu, kiedy bóstwa dotykały grube i zbyt śmiałe ręce. To były ręce Nowikowa.

Wieczorami, po wspólnem tłómaczeniu jakichś kilku rozdziałów, Nowikow zaczynał

mówić o przeczytanem. Siedział przy biurku swojem jak przy katedrze i mówił dźwięcznie, jasno i dobitnie, oddzielając każde słowo, nie pomijając żadnego logicznego akcentu i krótkimi przystankami zaznaczając przecinki. Duża głowa jego, krótko ostrzyżona i podobna do toczonej kuli, z ostro zaznaczonem, wypukłem czołem, mocno, bez ruchu siedziała na krótkiej szyi; twarz zawsze była bladą, a kiedy bywał bardzo wzruszony, zaczerwieniały się tylko odstające uszy, jak dwie purpurowe szmatki, przymocowane do żółtej kuli bilardowej.

Mówił o poprzednikach Nietzschego w filozofii, o związku jego nauki z ekonomiczną i socyalną ewolucyą wieku i twierdził, że Nietzsche o tysiąc lat wyprzedził wszystko swą racyonalną tezą indywidualizmu »ja chcę«. Czasem śmiał się z mglistego języka książki, w którym wyczuwał sztuczność, i wtedy Sergiusz Piotrowicz próbował zaprzeczać — nieśmiało i niedołężnie. To co mówił Nowikow

wydawało mu się mądrem, i takiem właśnie, do czego on sam nie dojdzie nigdy, ale niezgodnem z prawdą. I czuł, że jaśniej i bliżej rozumie słowa Zaratustry, ale jak tylko zaczynał je tłómaczyć, wyglądało to płasko i marnie i całkiem nie podobne do tego, co myślał. Milknął, czując rozgoryczenie, że ma taką głowę i taki język. Ale zdarzało się, że Nowikow, porwany pięknością rytmicznej mowy Zaratustry, podpadał pod wpływ niedopowiedzianego. Wtedy deklamował swym jasnym i silnym głosem, a Sergiusz Piotrowicz pobożnie słuchał, pochyliwszy swą brzydką, płaską głowę, i każde słowo wypalało się w jego sennym, ciężkim mózgu.

Sergiusz Piotrowicz nie odczuł chwili, kiedy się w nim wreszcie urwała spokojna kontemplacya faktów, i ustał tępy ból godzącego się z nimi. Jak gdyby kto do beczki z prochem podniósł ogień, ale nie wiedział, jak długo będzie się palił lont. Wiedział tylko, kto był tym zapalającym. To była wizya nadczłowieka,

tej niepojętej, ale ludzkiej istoty, która dokonała wszystkiego, czego się tylko można było od niej spodziewać, i teraz zupełnie prawnie cieszy się siłą, szczęściem i swobodą. Dziwna to była wizya. Jaskrawa, że aż bolały oczy i serce, mętną jednak była i nieokreśloną w konturach; cudowna i niepojęta, prostą była zarazem i realną. I przy jaskrawem świetle, co od niej szło, Sergiusz Piotrowicz przyglądał się swemu życiu, i zaczęło mu się wydawać nowem, interesującem, jak znajoma twarz, oświetlona łuną pożaru.

Patrzał naprzód i po za siebie się oglądał, i to co widział podobne było do długiego, szarego i wązkiego korytarza, pozbawionego powietrza i światła. Z tyłu korytarz gubił się w szarych wspomnieniach bezradosnego dzieciństwa, z przodu tonął w zmroku takiej samej przyszłości. I na całej przestrzeni korytarza nie widać było ani jednego ostrego, krętego załomu, ani jednych drzwi na zewnątrz, tam gdzie świeci słońce, śmieją się

i płaczą żywi ludzie. Przez korytarz, mijając Sergiusza Piotrowicza, płyną szare cienie ludzi, pozbawionych śmiechu i łez, i milcząc kiwają swemi tępemi głowami, tak bezlitośnie wyśmianemi przez okrutną naturę.

Póki Nowikow był w Moskwie, Sergiusz Piotrowicz codzień wykonywał tę samą pracę — porównywał siebie do kolegi, w którym oczy jego dopatrywały się aureoli nadczłowieczeństwa. Obserwował twarz jego, ruchy i myśli; rumienił się, kiedy Nowikow spostrzegał te tępe, ale uważne spojrzenia. Późno w noc, kiedy Nowikow spał, Sergiusz Piotrowicz przysłuchiwał się jego cichemu, równemu oddechowi i myślał, że Nowikow oddycha nawet inaczej niż on. I ten śpiący człowiek, którego kochał niegdyś, wydawał mu się teraz obcym i zagadkowym, a tajemnicą było wszystko: i głęboki oddech, i myśli, skryte pod czaszką, i narodziny, i śmierć. I niepojętem było, że pod jednym dachem leży dwóch ludzi, a każdy z nich ma wszystko

swoje, odrębne, niepodobne — i myśli — i życie.

Sergiusz Piotrowicz nie czuł się nieszczęśliwym, kiedy Nowikowa wysłali z Moskwy. Te 24 godziny, które spędził z nim Nowikow, pakując rzeczy i klnąc, przeszły nieznacznie, i przyjaciele znaleźli się na dworcu. Nie pili nic, bo pieniędzy starczyło tylko na drogę.

— A jednak to źle, żem dał panu Nietzschego, Sergiuszu Piotrowiczu, — powiedział Nowikow z tą wyszukaną grzecznością, która tak dziwacznie charakteryzowała ich wspólne życie i nie opuszczała nawet w pijanych chwilach na drzewach bulwaru.

— Dlaczego, Mikołaju Grygoriewiczu?

Nowikow nie odpowiedział, Sergiusz Piotrowicz dodał prędko:

— Nie będę go już czytał chyba. Mam dosyć.

Trzeci dzwonek.

— No, żegnam pana.

— Napisze pan do mnie? — zapytał Sergiusz Piotrowicz.

— Nie. Nie lubię korespondowania. Ale niech pan napisze — proszę!

Po chwili wahania uściskali się niezręcznie, nie wiedząc wiele razy należy się pocałować, i Nowikow odjechał. I teraz dopiero Sergiusz Piotrowicz zrozumiał, że dawno już chciał i oczekiwał tego dnia, kiedy nareszcie zostanie sam z Nietzschem, i nikt nie będzie im przeszkadzał. I rzeczywiście od tej chwili nikt im już nie przeszkadzał.

III.

Zewnętrznie życie Sergiusza Piotrowicza zmieniło się bardzo. Przestał chodzić na wykłady i zajęcia praktyczne, rzucił na półkę zaczętą rozprawę »Charakterystyka porównawcza węglowodorów«.

Kolegów przestał odwiedzać i zjawiał się tylko na zebraniach, ale natychmiast prawie wychodził znowu.

Pewnego razu studenci w wielkiem towarzystwie pojechali do kobiet i spotkali tam Sergiusza Piotrowicza, i co najdziwniejsza zupełnie trzeźwego. Rumienił się jak dawniej, kiedy żartowano z niego, a gdy się upił — śpiewał i mówił nieposłusznym pijanym językiem o jakimś Zaratustrze. Ostatecznie rozpłakał się, a potem wpadł w pasyę, nazywał wszystkich idyotami, a siebie nadczłowiekiem. Po tym wypadku, który długo był powodem do śmiechu, Sergiusza Piotrowicza zupełnie stracono z oczu.

Od czasu jak Sergiusz Piotrowicz przyszedł na świat, ani razu jeszcze głowa jego nie pracowała tak dużo i z takim uporem, jak w przeciągu tych krótkich dni i długich nocy. Anemiczny mózg nie był mu posłusznym i tam, gdzie on szukał prawdy, stawiał gotowe formuły, pojęcia i frazesy. Zmęczony, wyczerpany, przypominał konia roboczego, który wciąga na górę ciężki wóz i nie może złapać oddechu i pada na kolana, póki znowu

nie popędzi go palący bat. I takim batem była wizya nadczłowieka, tego, który zupełnie prawnie cieszy się siłą, szczęściem i swobodą.

Chwilami gęsta mgła przysłaniała myśli, ale promienie nadczłowieka rozpraszały ją, i Sergiusz Piotrowicz widział życie swe tak jasno i wyraźnie, jak gdyby było narysowane, albo opowiedziane przez kogoś innego. To nie były myśli ściśle następujące jedna po drugiej i wyrażone słowami — to były wizye.

Widział człowieka, który nazywał się Sergiuszem Piotrowiczem, dla którego zamknięte było wszystko, co robi życie szczęśliwem lub gorzkiem, ale zawsze głębokiem, ludzkiem. Religia i etyka, nauka i sztuka istniały nie dla niego. Zamiast gorącej i czynnej wiary, tej co góry obala, czuł w sobie jakiś bezkształtny zlepek, w którym przyzwyczajenie do obrządków przeplatało się z tanimi zabobonami. Nie był ani tyle śmiałym, żeby zaprzeczać istnieniu Boga, ani tyle silnym, żeby nie wierzyć w Niego; nie miał też uczuć mo-

ralnych i związanych z niemi emocyj. Nie lubił ludzi i nie mógł doświadczać tego wielkiego błogosławieństwa, któremu niema równego na ziemi, — pracować dla ludzi i umrzeć za nich. Ale nie mógł ich też nienawidzieć — i nigdy nie przeznaczone mu było doświadczyć palącej rozkoszy walki z równymi sobie i demonicznej radości w zwycięstwie tego, co świat cały czci jak świątynię. Nie mógł ani podnieść się tak wysoko, ani upaść tak nizko, żeby panować nad życiem i ludźmi — w pierwszym wypadku, stojąc wyżej niż ich prawa i tworząc nawet właśnie te prawa, w drugim — będąc po za tem wszystkiem, co jest obowiązującem i strasznem dla ludzi.

W pismach czytał Sergiusz Piotrowicz o ludziach, którzy zabijają, kradną, gwałcą i za każdym razem tą samą myślą kończyło się czytanie — a ja nie mógłbym. Na ulicy spotykał ludzi, którzy zeszli już aż na samo dno ludzkiego morza — i tu mówił też: a ja nie mógłbym.

Od czasu do czasu słyszał i czytał o ludziach-bohaterach, idących na śmierć za ideę albo miłość, i myślał — a ja bym nie mógł. Zazdrościł wszystkim, występnym i cnotliwym, a w uszach brzmiały mu bezlitośnie prawdziwe słowa Zaratustry: »Jeżeliś przegrał życie, jeźli jadowity płaz pożera ci serce, wiedz, że nie przegrasz śmierci«.

Sergiusz Piotrowicz nie odczuwał potrzeby tworzenia zła, ale chciał być dobrym. Pragnienie to hypnotyzowały w nim książki i ludzie, i było ono wielkie, ale bezowocne i męczące, jak męczącą jest żądza światła dla ślepego od urodzenia. Myślał o swojej przyszłości, ale nie było tam miejsca na dobro. Po skończeniu uniwersytetu zamierzał Sergiusz Piotrowicz wstąpić do zarządu akcyzy i nie mógł zrozumieć przy największym wysiłku myśli, jakie dobro może stworzyć urzędnik akcyzy. Nie wyobrażał sobie jakim będzie — uczciwym, obowiązkowym, pracowitym. Ale widział, jak z powolną, ścisłą stopniowością

posuwa się po drabinie awansów i, dopiąwszy wreszcie środkowego stopnia, zatrzymuje się, złamany wiekiem, nędzą i chorobami. Rozumiał, że zasługi jego w stosunku do okrucieństw życia będą ocenione, i będzie obchodzić swój trzydziestoletni jubileusz, jak niedawno obchodził ojciec jego. Będą wtedy mowy, będzie ich słuchał i płakał z rozrzewnienia, jak płakał ojciec jego, i będzie się całował z takimi samymi jak on starymi, siwiutkimi, zgryzionymi przez życie, przeszłymi, albo przyszłymi jubilatami, potem umrze z myślą, że zostawia po sobie tuzin takich samych dzieci, jakim on był, i w »Kronikach smoleńskich« będzie wydrukowana króciutka biografia, a przy końcu jej powiedziane, że umarł uczciwy i pożyteczny pracownik. I zdaje się Sergiuszowi Piotrowiczowi, że ta pośmiertna pochwała gorzką jest i bolącą, jak uderzenie batem w żywe, ze skóry odarte ciało. I boli dlatego jeszcze, że ludzie, chcąc powiedzieć przyjemną nieprawdę, powiedzieli dotkliwą

a niezaprzeczoną prawdę. I Sergiusz Piotrowicz myśli, że gdyby ludzie zawsze rozumieli to, co mówi ich język, nie mieliby odwagi mówić o pożyteczności i obrażać już obrażonych.

Nie odrazu zrozumiał Sergiusz Piotrowicz, na czem polega jego pożyteczność, i długo przewracał się i wzdrygał jego mózg, przywalony pracą nad siły. Ale mgłę rozpraszały jasne promienie nadczłowieka, i to, co było niezbędną tajemnicą, zrobiło się prostem i jasnem. Był pożytecznym, stanowczo był pożytecznym. Dla targu, jak to »coś«, co kupuje kalosze, cukier, naftę, a w związku z innemi podobnemi sobie buduje pałace dla silnych tego świata; dla statystyki i historyi — jako jednostka, która się rodzi i umiera i jest bezimiennym materyałem do nauki o prawach ludności; pożytecznym był i dla postępu, bo miał żołądek i ziębnące ciało, wprowadzające w ruch tysiące kół i warsztatów. I im więcej chodził Sergiusz Piotrowicz po świecie i pa-

trzał dokoła, tem więcej oczywistą stawała się jego pożyteczność. Z początku zajął się nią jak wynalazkiem, i z nowem uczuciem ciekawości patrzał na bogate domy i rozkoszne powozy i nieraz umyślnie jechał tramwajem, żeby służyć komuś swoją dziesiątką, ale niedługo poczęła go drażnić świadomość, że nie może zrobić kroku, który w jakikolwiek sposób nie byłby pożytecznym, bo pożyteczność nie podlega jego woli.

I wtedy wynalazł w sobie jeszcze jedną pożyteczność, a była najwięcej gorzką i obrażającą ze wszystkich i kazała się czerwienić ze wstydu i bólu. To była pożyteczność trupa, z którego uczą się praw życia i śmierci, albo heloty, spojonego po to, żeby inni widzieli, jak to brzydko zanadto się upić.

Nieraz w nocy, w tym okresie dusznej rozterki, Sergiusz Piotrowicz wyobrażał sobie książki, które się pisze o nim, albo o takich jak on. Jasno widział drukowane stronice, dużo drukowanych stronic i swoje imię na

nich. Widział ludzi, którzy piszą te książki i na nim, na Sergiuszu Piotrowiczu, gruntują swoje bogactwo, szczęście i sławę. Jedni opowiadają o tem, jaki on był marny, do niczego nie zdatny i nikomu nie potrzebny; nie śmieją się z niego, nie wyszydzają, — nie, poprostu starają się przedstawić jego nieszczęście tak żałośnie, żeby wszyscy płakali, a jego radość tak, żeby się śmieli. Z naiwnym egoizmem sytych i silnych ludzi, którzy mówią z takimiż silnymi i sytymi, starają się pokazać, że i w takich stworzeniach jak Sergiusz Piotrowicz jest coś ludzkiego; usilnie i gorąco dowodzą, że ich boli, kiedy biją, i przyjemnie raduje, kiedy pieszczą. A jeśli piszący mają talent i uda im się pokazać to co chcieli, im stawiają pomniki, podstawą których jest niby granit czy marmur, a w gruncie — niezliczona masa Sergiuszów Piotrowiczów. Inni też żałują Sergiusza Piotrowicza, ale mówią o nim według opowiadań pierwszych i sumiennie obradują nad tem, skąd się biorą tacy jak

on i gdzie się podziewają, i uczą co trzeba czynić, żeby nadal nie było takich.

Dla kapitalisty — korzystnym jest, jako kopalnia bogactw jego; dla pisarza — jako stopień do pomnika; dla uczonego — jako wielkość, zbliżająca go do poznania prawdy; dla czytelnika — jako objekt do ćwiczeń swych uczuć szlachetnych — oto pożyteczność jaką znalazł w sobie Sergiusz Piotrowicz. I całą duszę jego ogarnął wstyd i głuchy gniew człowieka, który długo nie rozumiał, że z niego się śmieją, i, obróciwszy się, zobaczył wyszczerzone zęby i wyciągnięte palce. Życie, z którem tak długo się godził, jak z faktem, spojrzało mu w twarz swemi głębokiemi oczami, zimnemi, poważnemi i okropnie niepojętemi w swej srogiej prostocie. Wszystko to, co dotąd mglisto przesuwało się w nim i przejawiało się w niejasnych marzeniach i tępej tęsknocie, zaczęło teraz wołać głośno i rozkazująco. Jego *ja,* to, które on uważał za jedynie prawdziwe i niezależne od słabego mózgu, ani od zwię-

dłego serca, wzburzyło się w nim i zaczęło wymagać wszystkiego, na co miało prawo.

— Nie chcę być niecnym materyałem dla szczęścia innych; sam chcę być szczęśliwym, silnym i swobodnym i mam prawo do tego — wypowiedział Sergiusz Piotrowicz utajoną myśl, która przesuwa się w wielu głowach i wiele głów robi nieszczęśliwemi, ale wypowiada się tak rzadko i z takim wysiłkiem.

W chwili, kiedy pierwszy raz wymówił to jasne, określone zdanie, zrozumiał, że jest ono wyrokiem na to, co się nazywa Sergiuszem Piotrowiczem i co nigdy nie może być ani silnem ani wolnem. I powstał na naturę, co go tak okradła ze wszelkiej osobowości, powstał jak niewolnik, któremu kajdany wyryły krwawe stygmaty na ciele, który jednak długo nie uświadamiał sobie poniżającego bezprawia niewolnictwa i pokornie pochylał plecy pod batem dozorcy. To było uczucie konia, któremu mocą cudu darowano ludzką świadomość i rozum właśnie w chwili, kiedy bat

rysuje mu plecy, ale nie dano ani głosu, ani siły do oporu. I im dłuższym, silniejszym i okrutniejszym był ucisk, tem większym był gniew powstającego.

W tym czasie właśnie odebrał Nowikow pierwszy list od Sergiusza Piotrowicza, bardzo długi i mało zrozumiały, bo Sergiusz Piotrowicz zupełnie nie mógł przybrać w formę myśli i słów wszystkiego tego co widział tak jasno i dobrze. Nowikow nie odpowiedział na ten list, albowiem nie lubił korespondencyi, a przytem zajęty był bardzo pijatyką, książkami i lekcyami języków. Jednemu ze swoich przyjaciół, którego ciągał ze sobą do knajp, opowiedział jednakże o Sergiuszu Piotrowiczu, o liście i o Nietzschem, i żartował z Nietzschego, kochającego tak bardzo silnych, a będącego prorokiem dla ubogich duchem i słabych.

Pierwszym skutkiem oburzenia był powrót Sergiusza Piotrowicza do swych nawpół zapomnianych i naiwnych marzeń. Ale nie mógł

ich poznać, tak bardzo zmieniły się pod wpływem świadomości praw do szczęścia. I zrezygnowany zastanawiał się teraz nad tem, czy nie mógłby być szczęśliwym i w tych marnych warunkach. Szczęście przecież tak rozległe i wielostronne; pozbawiony możności być szczęśliwym w jednem, znajdzie sobie szczęście w innem. I odpowiedź, którą znalazł dla siebie Sergiusz Piotrowicz, zmusiła go do powstania przeciw ludziom, jak się był już oburzył przeciw naturze.

IV.

Mieszkał Sergiusz Piotrowicz niedaleko od kuchni komitetowej, w dużym, czteropiętrowym domu, od dołu do góry zaludnionym studentami. Miał malutki i czysty pokoik, a sąsiadami jego byli cisi i niepijący studenci, można więc było wybornie pracować i myśleć; i jeżeli istniało coś przykrego, to ciągły czad z kuchni — od rana. Ale Sergiusz Piotrowicz

przestał pracować, przez pół dnia pokój jego stał pusty i ciemny.

Chodził bardzo dużo, niezmordowanie, długą postać jego w wypłowiałej czapce można było spotkać na wszystkich ulicach Moskwy. Pewnego mroźnego, ale słonecznego dnia przedostał się nawet na górę Worobiową i stamtąd długo patrzał na Moskwę, owianą różową mgłą i dymem, na błyszczącą taflę rzeki i ogrody. Idąc łatwiej myśleć, a to co widział ułatwiało pracę myśli, jak ilustracya do tekstu ułatwia rozumienie jego dla słabych głów. Jak gospodarz, który zrozumiał, że grozi mu ruina, ostatni raz obchodzi swój majątek, ze smutkiem rozmyślając o stratach; tak i Sergiusz Piotrowicz rozmyślał o swojem bankructwie, i tak samo smutne były te rozmyślania. Wszystko, co widział dokoła, mówiło, że i dla niego możliwe byłoby względne szczęście, ale mimo wszystko, mimo wszystko nigdy go nie osiągnie — nigdy.

Tylko jedno mogło dać szczęście Sergiu-

szowi Piotrowiczowi — posiadanie tego, co on ukochał w życiu, i wyzwolenie się z tego, co nienawidził. Nie wierzył Hartmanowi, który zawsze dobrze się odżywiał i dlatego twierdził, że posiadanie upragnionego rozczarowuje tylko — lecz myślał, jak Nowikow, że filozofia pesymizmu stworzoną jest dla pocieszenia i oszukania ludzi, którzy pozbawieni są wszystkiego, co mają inni. Był przekonany, że potrafi być szczęśliwym, jeśli mu dadzą pieniądze, tę wędrującą po świecie wolność, którą niewolnicy biją dla panów.

Sergiusz Piotrowicz był pracowity, ale nie lubił pracy i cierpiał pod jej ciężarem, bo nigdy praca jego nie była taką, żeby mogła dać mu zadowolenie. W gimnazyum pracą było uczyć się rzeczy mało zajmujących i obcych, które nieraz szły zupełnie wpoprzek jego rozsądku i sumienia; i wtedy praca stawała się męką. W uniwersytecie praca była lżejszą, spokojniejszą i rozumniejszą ale tak samo nie dawała ukojenia zimnemu mózgowi; a lekcye,

które miewał czasem Sergiusz Piotrowicz, przedstawiały odwrotną stronę gimnazyalnych i były tak samo męczące. I przyszła praca jego, jako urzędnika akcyzy, obiecywała tę samą beznadziejną, pokorną nudę. Tylko latem, u siebie w Smoleńsku, Sergiusz Piotrowicz znajdował wytchnienie przy zwykłej ręcznej pracy: heblował, wycinał, robił dla swych małych braci drewniane fuzye i strzały, naprawiał płoty i ławeczki w ogrodzie, kopał grzędy, przewracając błyszczącą rydlówką pulchną, niby wypolerowaną ziemię. Było to wesołe i radosne, ale nie było tą pracą, do której powoływało go urodzenie z ojca-urzędnika i wykształcenie. Inni ludzie, cierpiący wskutek nieszharmonizowania zdolności z pracą, łamią czasem zamki i idą, gdzie chcą — do fabryk, do uprawy roli, albo na włóczęgę. Ale to są silni ludzie i śmiali, takich niedużo na świecie; a Sergiusz Piotrowicz czuł się tak słabym, zalęknionym, kierowanym czyjąś obcą wolą, jak lokomotywa, którą tylko nieszczęśliwy

wypadek może wykoleić z toru, ułożonego niewiadomemi rękami. I nietylko uczynić tego, ale nawet wyobrazić sobie nie mógł, jakby to wyglądało, gdyby porzucił przyzwoite ubranie, mieszkanie, wykłady i obdarty włóczył się po świecie, albo szedł za pługiem.

I oto pierwsze, co mogłoby zbliżyć go do szczęścia — było wyzwolenie się z obcej mu i nieprzyjemnej pracy. Miał prawo do tego wyzwolenia, bo widział ludzi, tak samo jak on urodzonych z kobiety, jak on mających nerwy i mózg, którzy jednak nie pracowali zupełnie, a poświęcali się tylko temu, co im sprawiało przyjemność.

— A co posiadają inni, do tego mam prawo i ja — myślał Sergiusz Piotrowicz w tym okresie oburzenia na naturę i ludzi.

Byłoby się może i dla niego znalazło zajęcie, które raduje i wiąże z życiem. Naprzykład znajomość natury. Nie przeniknięcie do jej najgłębszych tajników — to wymagało większej mądrości — ale bezpośrednie pozna-

wanie jej oczami, powonieniem, wszystkim zmysłami. Kochał żywą naturę czułą, a nawet namiętną, ale głęboko ukrytą miłością, którą podejrzewał tylko Nowikow. Jakieś zdziebełko trawy na wiosnę; biały pień brzozy, strzelający z miękkiej, pachnącej ziemi; czarne, cieniutkie sęczki, przytulone do jej miękkiej piersi — przykuwały mu oczy i cieszyły serce. Nie rozumiał, za co tak kocha tę czarną ziemię, która dała mu tyle nieszczęść i smutku; ale kiedy na wiosnę ujrzał pierwszy jej szmat wyzwolony z zimnego i martwego śniegu, i jak gdyby wzdychający pod promieniami słońca, chciało mu się całować ją długo i czule, jak się całuje kochaną kobietę. Skazany na spędzanie życia w wązkiej, czworobocznej skrzyni, wśród zakurzonych, dudniących ulic, pod brudnem miejskiem niebem, zazdrościł włóczęgom, których snem opiekują się gwiazdy, i którzy wiedzą i widzą tak dużo. A on nie widział w swem życiu i nie zobaczy nic, prócz brzozy, trawki, niegłębokich rzeczek i niewy-

sokich pagórków. Zdarzało mu się czytać piękne i prawdopodobnie prawdziwe opisy morza i gór, ale słaba wyobraźnia nie mogła odtworzyć żywych obrazów. I chciało mu się własnemi oczami przekonać się, czy to prawda, że morze jest tak głębokie i nieskończone, że jest zielone albo błękitne, albo nawet czerwone; że wysokie fale chodzą po nim; a nad nim, przez ciemne niebo biegną białe obłoczki, albo czarne, straszne chmury. I czy to prawda, że góry są tak wysokie, strome i porosłe lasem; i że wśród nich błękitnieją mgliste wąwozy, a pod samem zielonem niebem błyszczą śnieżne szczyty.

Czy to wszystko prawda?

Głębokie rzężące westchnienie, wychodzące z głębi zakurzonych płuc, podnosiło pierś Sergiusza Piotrowicza i ścierało z jego płaskiej twarzy wstydliwie-zachwycony uśmiech. I jeszcze więcej niż włóczęgom zazdrościł on tym, którzy posiadali morza i góry.

Pewnego razu wałęsając się po mieście

i wyróżniając w tłumie tych wolnych i możnych i tych na zawsze pozbawionych wolności, Sergiusz Piotrowicz zobaczył afisz panoramy stereoskopowej i wstąpił tam. Pokazywano góry, jeziora i pałace Ludwika Bawarskiego. Kolorowane fotografie przesuwały się przed oczyma, a były tak żywe i plastyczne, że czuło się powietrze i błękitną dal, a woda błyszczała jak prawdziwa, i w niej odbijały się lasy i pałace. Biały, świątecznie jasny i czysty parowiec rozcinał spienione fale, a na pokładzie stali i siedzieli odświętnie ubrani mężczyźni, kobiety i dzieci; i zdawało się, że radosny uśmiech igrał na ich twarzach. Potem widział pałac, biały swemi wieżyczkami i zębatymi tarasami nad zielonością lasów, kaskadami spadających w doliny, i widział wnętrze pałacu. Wspaniałe sale, niezliczone mnóstwo obrazów, królewski przepych aksamitu i ciężkiego adamaszku, światło wlewające się przez wysokie, gotyckie okna i ślizgające się po posadzce. I na jednem

oknie plecami do Sergiusza Piotrowicza zwrócony, siedział ktoś obojętny i spokojny i patrzał w dół, tam, gdzie były same szczyty gór i jasne niebo. Sergiusz Piotrowicz długo przyglądał się nieruchomej postaci siedzącego, jak gdyby widział wszystko co widział tamten: lasy, doliny, błękitną dal jeziór; i czuł, jak czystem i świeżem powinno być powietrze, którem oddycha tamten. I zdawało mu się, że wśród wspaniałych sal, odległych jak niebo sufitów, okien, z których można obejrzeć półświata, nie może być tęsknoty i smutnych rozmyślań. Najgłówniejsze i najbardziej zadziwiające widział on: widział człowieka ze śmiesznie podwiniętą pod siebie nogą i wystawioną podeszwą buta, tak samo, jak Sergiusz Piotrowicz podwinąłby ją pod siebie na jego miejscu, a człowiek ten oddychał górskiem powietrzem i mógł chodzić po wspaniałych salach. Z nagłym wybuchem złej tęsknoty Sergiusz Piotrowicz zgrzytnął zębami i posunął się naprzód, jak gdyby chcąc zrzucić

w przepaść nieruchomo siedzącego człowieka, i mocno uderzył się brwiami i nosem o ramki szkieł. Wstyd mu było na myśl, że gniew jego wymuszony i właśnie obliczony na istnienie ramek gdyby człowieka tego widział w rzeczywistości, nie odważyłby się dotknąć go palcem. Zalękniony i cichy, wzdrygający się na widok zarzniętej kury, niezdolny był do gniewu.

Kiedy Sergiusz Piotrowicz wyszedł z gmachu panoramy na krzywą i garbatą uliczkę moskiewską, z której stróże zmiatali śnieg, a dorożkarze wywozili go na saniach, myślał, że niema takich faktów, na które człowiek powinien się godzić.

Po naturze następowała muzyka, sztuka we wszystkich swych przejawach, jakie dostępne były rozumieniu Sergiusza Piotrowicza i mogły wypełnić życie jego i uczynić je zajmującem i urozmaiconem. Potem szła miłość kobiety, której pragnęło jego serce. Na koncertach, teatrach i ulicach widywał rasowo-

piękne kobiety, pełne wykwintu i dostojności, i pragnął ich koniecznie. Jedną z nich zapamiętał spotykając ją kilka razy, i marzył o niej, a ona ani razu nie podniosła na niego swych oczu i nie wiedziała o jego istnieniu. Wstrętnem mu było wspomnienie miłości dziewczyny, która pełła grzędy, i od której czuć było nawóz i pot, i wstrętną mu była myśl o innych kobietach tak samo ordynarnych, które będą go kochać i mówić o meblach i znienawidzonej pracy. Aż do bólu chciało mu się miłości tej kobiety, której nie znał nawet z imienia, i która nie rozumiała tego wszystkiego czem męczył się on i inni podobni do niego. Jak człowiek, co nigdy nie ma pieniędzy, myślał, że one mogą mu dać miłość, i jak człowiek, co nigdy nie zaznał kobiecej miłości, myślał, że ona może mu dać szczęście.

W tym czasie właśnie pojechał Sergiusz Piotrowicz do kobiet, gdzie spotkali go koledzy, i umyślnie nie pił, żeby jaśniej uświadomić

sobie to, co przypada na tym świecie dla niego i dla innych, do niego podobnych.

Im więcej Sergiusz Piotrowicz wpatrywał się w życie, tem bezsilniejszą i marniejszą stawała się w jego oczach natura, obłąkańczo rozrzucająca swe skarby. I na miejscu poniżonej natury przed mętnemi oczyma powstawała druga groźna i potężna siła — pieniądz. Zaślepiony, przestając się oryentować, zaczął myśleć, że panuje on i nad naturą. I słaby mózg jego uległ okłamaniu, a w sercu zatliła nadzieja. Wyjmował z kieszeni srebrnego rubla i obracał go w ręku z uczuciem dziwnej ciekawości i zdumienia, jak gdyby po raz pierwszy widział ten błyszczący krążek. Nie spadają z nieba te krążki, nabył go i może nabyć jeszcze więcej, a wtedy w ręku będzie miał potężną siłę, rozciągającą władzę nad senną naturę. I jak każdy człowiek, któremu błysnęła nadzieja, nie myślał o jej urzeczywistnieniu, ale o tem co będzie robił, kiedy się już urzeczywistni. I te kilka dni były wy-

tchnieniem dla Sergiusza Piotrowicza. Podniósł się w górę, żeby potem mocniej się rozbić o ziemię i już nie powstać. Biorąc za pewnik to, że już ma milion, marzył o morzu, o górach i o kobiecie, której imienia nie znał, która nie przypuszczała nawet, że on istnieje.

Ale niemożliwem było zatrzymać myśli, kiedy już zaczęła pracować, i kiedy popędzał ją taki palący bicz, jak wizya nadczłowieka tego, który zupełnie prawnie cieszy się siłą, szczęściem i swobodą. I kiedy wizya ta przemknęła przed zmęczonemi oczyma Sergiusza Piotrowicza, zdziwił się, że jak dawniej oddaje się nieziszczonym dziecinnym marzeniom. Dużo było dróg wiodących do posiadania pieniędzy, ale przy każdej z nich stały rogatki i nie puszczały Sergiusza Piotrowicza. Nie mógł ukraść, jak nie mógł i zabić, bo nie mózg, a obca niewiadoma wola kierowała jego czynami. Praca dostępna nie mogła dać bogactwa, a wszystko inne — gra na giełdzie, fabryka,

posada z wielką rentą, sztuka, ożenienie się bogate, wszystko, co uwzględnia prawo i sumienie, nie istniało dla niego tak samo, jak mądrość. I kiedy Sergiusz Piotrowicz zrozumiał, że pieniądz nie ściera niesprawiedliwości natury, ale jeszcze głębiej je wyżłabia, i że ludzie zwykli dobijać tego, kto już jest zraniony przez naturę — rozpacz zgasiła nadzieję, i mrok ogarnął duszę. Życie wydało mu się ciasną klatką, a gęste i grube były jej żelazne pręty, i tylko jedno nie zamknięte było z niej wyjście.

Zaczął się nowy okres w życiu Sergiusza Piotrowicza. Nie wychodził nigdzie z domu, bywał tylko w kuchni studenckiej, przychodząc tam prawie wtedy, kiedy ją już zamykano, żeby się nie spotkać ze znajomymi studentami. Dzień i noc leżał na łóżku, albo chodził, a sąsiedzi i gospodyni zdążyli się już przyzwyczaić do jednostajnego odgłosu kroków, które się słyszy czasem w celach więziennych: raz, dwa, trzy naprzód i raz, dwa, trzy

z powrotem. Na stole leżała książka i chociaż była zamkniętą i zakurzoną z wnętrza jej grzmiał spokojny, twardy i bezlitosny głos:

»Jeżeliś przegrał życie, jeżeli jadowity płaz pożera serce twoje, wiedz, że nie przegrasz śmierci«.

V.

Jeśli nie można zwyciężyć, trzeba umrzeć. I Sergiusz Piotrowicz postanowił umrzeć i myślał, że śmierć jego będzie zwycięstwem.

Myśl o śmierci nie była nową: przychodziła mu i dawniej, jak przychodzi każdemu człowiekowi, który na drodze ma dużo kamieni; ale była tak samo bezowocną i bezczynną, jak marzenia o milionie.

Teraz jednak zjawiła się Sergiuszowi Piotrowiczowi niezłomnem postanowieniem, i śmierć stała się czemś nietylko pożądanem, co może być albo nie być, ale koniecznem, nieuniknionem, takiem co się stanie napewno. W klatce otworzyło się wyjście, i chociaż wiodło w niewia-

domy mrok, to było już wszystko jedno dla Sergiusza Piotrowicza. Miał jakąś mglistą wiarę w nowe życie i nie bał się go, bo przecież zabierze tam tylko to wolne »ja«, co nie zależy ani od słabego mózgu ani od zwiędłego serca, a ciało ziemia pochłonie jako swą zdobycz; i niech tam sobie tworzy z niego nowe mózgi i serca. I kiedy odczuł w sobie wolę śmierci — pierwszy raz w życiu głęboka i dumna radość zapełniła duszę jego — radość niewolnika, zrywającego więzy.

— Nie jestem tchórzem — powiedział Sergiusz Piotrowicz — i to była pierwsza pochwała, którą usłyszał od siebie i przyjął z dumą.

Zdawałoby się, że myśl o śmierci powinna zgładzić wszystkie troski życiowe, wszelką myśl o ciele, na nic już nie potrzebnem. Ale z Sergiuszem Piotrowiczem stało się zupełnie odwrotnie: w ostatnich dniach swego życia znowu stał się tym pedantycznie porządnym i dbającym o czystość ciała, jakim był da-

wniej. Zdziwiło go, że mógł tak długo patrzeć na nieporządek w pokoju i na biurku, i posprzątał, wszystko, porozkładał książki w tym porządku jak leżały zwykle. Na wierzchu położył zaczętą rozprawę, która później dostała się Nowikowowi, a osobno »Tak mówił Zaratustra«. Nie otworzył nawet książki, i widocznie zupełnie obojętnym był mu teraz Nietzsche, którego nie czytał już, bo notatki ołówkowe na marginesach dochodzą tylko do trzeciej części. Może obawiał się, że znajdzie tam coś nowego i nieoczekiwanego, a to zrujnuje całą jego męczącą i długą pracę, zostawiającą po sobie wrażenie jaskrawego i strasznego snu.

Potem Sergiusz Piotrowicz poszedł do kąpieli i z rozkoszą leżał w zimnej wodzie, a spotkawszy na ulicy kolegę-studenta, wstąpił z nim do piwiarni »do niemca« i wypił tam butelkę piwa. W domu cały różowy, czysty, w białej płóciennej koszuli, długo siedział przy herbacie z malinowemi konfiturami; po-

tem poprosił gospodynię o igłę i zaczął naprawiać swój uniformowy tużurek. Był już stary i ciasny i ciągle rozrywał się pod pachami; Sergiusz Piotrowicz nieraz już zmuszony był naprawiać go. Grube i niezgrabne palce z trudnością łowiły małą igłę, ginącą w zbutwiałem, szarem suknie. Kilka dni Sergiusz Piotrowicz poświęcił na przygotowanie cyanku potasu i, kiedy trucizna była już przygotowana, z przyjemnością spojrzał na maleńką flaszeczkę, myśląc nie o śmierci, która się w niej zawierała, ale o tem, że powiodło się wykonanie tej pracy. Gospodyni, mała, czarna kobietka, ex-utrzymanka, widocznie przeczuwała coś, bo ucieszyła się niezmiernie, widząc, że Sergiusz Piotrowicz powraca znowu do swego zwykłego pracowitego życia. Przyszła do jego pokoju i długo gadała na temat, jak źle oddziaływa na młodych ludzi samotność; opowiedziała o znajomym swoim, który miał urząd rewirowego i duże dochody, ale wskutek mroczności charakteru zaczął pić i znalazł

się aż na Chitrówce, gdzie teraz pisze za kieliszek wódki prośby i listy. Tę historyę o rewirowym opowiadała potem wszystkim studentom, co przychodzili do niej i dodawała, że już wtedy zauważyła podobieństwo między losem swego znajomego i Sergiusza Piotrowicza.

— Niech pan wstąpi kiedy do mnie na herbatę — prosiła Sergiusza Piotrowicza, bez żadnej jednak utajonej myśli. Albo do kolegów czasem się przejść; siedzi pan sam, nigdzie nie wyjdzie, ani nikt do pana nie przyjdzie.

Sergiusz Piotrowicz posłuchał jej rady i odwiedził prawie wszystkich kolegów swoich, ale nigdzie nie zostawał długo.

Później studenci zapewniali, że zaczynające się obłąkanie Sergiusza Piotrowicza było już zupełnie widoczne, i dziwili się, dlaczego nikt wtedy nie zauważył tego. Zwykle milczący i zażenowany nawet wobec najbliższych, Sergiusz Piotrowicz teraz gadał o różnych głup-

stwach, a o Nowikowie wspominał i mówił jak równy i nawet posądzał go o płytkość. Przytem wesoły był i często się śmiał. Jakiś młody studencik opowiadał potem, że Sergiusz Piotrowicz śpiewał nawet, ale w tem już naprawdę była przesada. Wszyscy jednogłośnie znaleźli jakąś dziwną zmianę w Sergiuszu Piotrowiczu, ale dopiero potem, bo wtedy właśnie, kiedy należało ją zauważyć, nie zajmowano się nim wcale jak zwykle. I z powodu tego braku zainteresowania niektórzy, bardzo ostro potępiający obojętność i egoizm kolegów, podnieśli zajmującą kwestyę: czy możliwy byłby ratunek dla Sergiusza Piotrowicza w tej stanowczej chwili jego życia? i znajdowali, że ratunek byłby możliwym, ale nie pod przymusem innego silnego umysłu, tylko pod wpływem blizkiego człowieka, matki, albo kobiety, któraby go kochała. Przypuszczali, że przez wszystkie te dnie Sergiusz Piotrowicz był w stanie przytępienia umysłowego, podobnego do hypnotycznego

snu, kiedy nad wolą niepodzielnie panuje swoja, albo cudza idea. Nie można było osłabić jej rozumowaniem, ale obudzić Sergiusza Piotrowicza mogła miłość, krzyk matki, wychodzący jej z serca, widok twarzy tak drogiej i miłej, na której od dzieciństwa kocha się każdą zmarszczkę, jej łzy, których nie potrafi znieść nawet zupełnie zczerstwiały człowiek, — wszystko to mogłoby powołać Sergiusza Piotrowicza do świadomości. Dobry i szlachetny nie odważyłby się wprowadzić śmierci do matczynego serca: zostałby tu na ziemi, jeżeli już nie dla siebie, to dla innych kochających go. Przecież tak wielu małodusznych, już zdecydowanych na samobójstwo, powstrzymywała świadomość, że są potrzebni dla kochających ich, i długo jeszcze żyli, wzmacniając się w przekonaniu, że więcej odwagi potrzeba do życia, niż do śmierci. A jeszcze więcej było takich, którzy zapominali o przyczynach, co popychały ich nie-

gdyś do samobójstwa i żałowali nawet, że życie jest tak krótkie.

Z nowem rozdrażnieniem napadali jedni koledzy na drugich i wymawiali im oburzającą obojętność. Jakiś telegram z dziesięciu słów, wysłany do matki Sergiusza Piotrowicza, mógłby ochronić życie ludzkie od zagłady.

Studentów, wysuwających zawsze naprzód społeczny punkt widzenia, wypadek ten wprowadził na rozmyślania i rozmowy o rozluźnieniu stosunków koleżeńskich, braku wspólnych kwestyj i umysłowem osamotnieniu. Powstało w krótkim czasie kilka kółek samokształcenia, gdzie czytano książki z tendencyą społeczną i pisano referaty.

Sergiusz Piotrowicz postanowił zabić się w piątek, 11 grudnia, kiedy większość kolegów przygotowywała się już do wyjazdu na zimowe ferye. Tego dnia rano był na poczcie, gdzie w oddziale korespondencyi rekomendowanej wyekspedyował ciężki list, adresowany

do Smoleńska do Nowikowa, a odebrany kwit schował do pugilaresu.

W liście donosił o śmierci swej i przyczynach, które ją wywołały, przytem te ostatnie podawał w rubrykach, i cały list robił takie wrażenie, jak gdyby on pisał nie o sobie, a o jakimś innym, mało zajmującym człowieku. W południe zjadł obiad w kuchni komitetowej, długo siedział przy obiedzie i rozmawiał ze znajomymi, a potem u siebie spał tak samo długo i mocno, tak że wstał dopiero po dziesiątej. Podano mu samowar i studenci przez ścianę usłyszeli znowu jednostajny odgłos kroków: raz—dwa—trzy naprzód i raz—dwa—trzy z powrotem. Kiedy już późno w noc rozespana służąca sprzątała samowar, Sergiusz Piotrowicz rozmawiał z nią, jak gdyby chcąc najdłużej zatrzymać ją u siebie, i był przytem bardzo blady, jak mówiła potem służąca.

Sergiusz Piotrowicz wcale nie myślał jakim będzie ten wieczór, który on uważał

za ostatni w swojem życiu. Był zupełnie spokojny i wesoły i nie myślał o śmierci, jak wogóle przez wszystkie te dni. Myśleć o niej zaczął dopiero na godzinę albo na dwie przed zażyciem trucizny. Myśli przychodziły skądś zdaleka, urywane i głuche. Z początku pomyślał o gospodyni, która jutro zobaczy trupa jego i przelęknie się, a potem jak będzie leżał i jak wyglądał po śmierci. Na chwilę myśl jego skoczyła w bok, ku wspomnieniom dzieciństwa, właśnie ku śmierci wuja. — Umarł w ich domu, i Sergiusza Piotrowicza, wtedy jeszcze siedmioletniego Sieriożę, odwieźli do znajomych. Przechodząc przez przedpokój już ubrany, zajrzał do salonu i zobaczył tam stół, na którym zwykle jadali, a na stole zwrócone ku sobie nieruchome stopy w białych nicianych skarpetkach. Widział je przez chwilę jedną, ale zapamiętał na całe życie i samej śmierci długo nie mógł sobie inaczej wyobrazić, jak w kształcie nieruchomych stóp w białych nicianych skarpetkach.

Potem przypomniał sobie stosunkowo niedawny wypadek, kiedy widział jakiś biedny i dziwny pogrzeb. Dziwnym w nim było to, że absolutnie nikt na całej ulicy, ani przechodnie, ani dorożkarze nie zwracali nań żadnej uwagi i nawet jak gdyby wcale go nie widzieli, bo nikt nie zdjął czapki. Czterech tragarzy niosło na tragach trumnę przykrytą czemś ciemnem. Szli równo, a tak prędko, że trumna kołysała się jak na falach i koniec przykrycia za każdym razem się odchylał. Nie widać było ani duchowieństwa, ani odprowadzających.

Kiedy z tych wspomnień myśl wróciła znowu do Sergiusza Piotrowicza, była bardzo ostrą, pewną i jasną, jak nóż, dopiero co naostrzony. Jeszcze chwilę wahała się w niepewności, zaznaczając otaczającą ciszę, wygasły samowar, zegarek na stole, i nagle, jak gdyby znajdując co było potrzebnem, wyrzeźbiła obraz pogrzebu Sergiusza Piotrowi-

cza, taki prawdziwy, wypukły i straszny, że drgnął i ręce jego zrobiły się zimne.

Z tą samą nieprzebłaganą, przerażającą prawdziwością jeden za drugim modelowała następne momenty: czarną, krzywą paszczę mogiły, twardy i ciemny grób, zzieleniałe guziki munduru i proces rozkładu trupa. I zdawałoby się, że to myśli nie sam Sergiusz Piotrowicz, ale czyjaś olbrzymia ręka prędko przeciąga przed nim samo życie i śmierć w ich nieuchwytnych kolorach.

Sergiusz Piotrowicz obudził się. Było mu tak straszno, że chciał krzyczeć, z przerażeniem spoglądał na małą flaszkę i usuwał się od niej, bojąc się prawie, że mu gwałtem wleją do ust śmiertelną truciznę. Najwięcej ze wszystkiego na świecie obawiał się teraz siebie samego, tego strasznego nieposłuszeństwa, jakie czuł w rękach i nogach. Cofał się w tył, a całe ciało jego drżało, porywając się naprzód do flaszki. Nogi, ręce, usta w samych kościach i żyłach zdawały się napełniać

namiętnem, szalonem, rozkazującem pragnieniem rzucenia się naprzód, schwycenia flaszki i wypicia jej z rozkoszą, z upragnieniem.

— Nie chcę, nie chcę! — szeptał Sergiusz Piotrowicz i odpychał rękami i cofał się w tył, ale zdawało mu się, że zbliża się do flaszki, a ta rośnie mu w oczach. I kiedy drzwi, o które się oparł, zatrzymały go, przestał rozumieć, krzyknął i zrobił krok naprzód.

W tej chwili weszła służąca po samowar i długo zabierała naczynie, którego nie mogła dobrze rozróżnić zaspanemi oczami.

— O której obudzić pana jutro? — zapytała wychodząc. — Sergiusz Piotrowicz zatrzymał ją i zaczął mówić, ale nie słyszał ani swych pytań, ani jej odpowiedzi. A kiedy znowu został sam, w mózgu miał ciągle to zdanie: »O której obudzić pana jutro?« brzmiało długo, uporczywie, zanim Sergiusz Piotrowicz zrozumiał znaczenie jego.

Zrozumiał, że jak wszyscy może się rozebrać i położyć, a obudzą go jutro, kiedy

nastanie nowy dzień. O, stanowczo przyjdzie ten nowy dzień, i Sergiusz Piotrowicz będzie żył jak wszyscy dlatego, że nie chce umierać i nie umrze, i nikt nie może go zmusić, by wziął flaszkę i wypił truciznę. Drżąc ciągle jeszcze, wziął tę fiaszkę, otworzył ją umyślnie poczuł zapach gorzkich migdałów i cichutko, lekko, drżącą ręką postawił na półce, gdzie była niewidoczną za książkami. Teraz kiedy flaszka była w ręku jego i on nie umarł, nie bał się już ani jej ani siebie.

Kiedy Sergiusz Piotrowicz położył się do łóżka, zdawało mu się, że uratowane życie raduje się we wszystkich najmniejszych cząstkach jego ciała, ogrzanego kołdrą. Wyciągał nogi i ręce, które o mało co nie popełniły zbrodni i w nich uczuł coś śpiewającego słodko, cieniutkim wesołym głosikiem, jak gdyby krew radowała się i śpiewała, że się nie stała śliską, gnijącą masą, a płynie wesoła i czerwona szerokiemi, wolnemi drogami. Tak samo wesoło wypełniała serce, a ono śpiewało z nią

razem i tryumfująco wybijało swoj hymn na cześć życia.

— Żyć! żyć! — myślał Sergiusz Piotrowicz, przebierając posłusznymi, giętkimi palcami.

Niech będzie nieszczęśliwym, prześladowanym, wydziedziczonym; niech wszyscy pogardzają nim i śmieją się z niego; niech będzie ostatnim z ludzi, marnością, błotem, które otrząsają z nóg, ale będzie żył, żył! zobaczy słońce, będzie oddychał, będzie przebierał palcami, będzie żył... żył! I to takie szczęście, taka radość, i nikt tego nie odbierze, i to będzie trwało długo, długo... zawsze! Nieskończona mnogość dni, co przyjdą, zapalą zorzę swą, i w każdym z tych dni będzie żył, żył! I oto pierwszy raz oddawna Sergiusz Piotrowicz przypomniał sobie ojca i matkę, i przeraził się i rozrzewnił. Całował zmarszczki, po których powinny były spływać łzy, i serce jego rozpierał tryumfujący, zwycięski okrzyk: żyję, żyję! I kiedy zasnął lekkim, radosnym snem,

ostatniem uczuciem był słony smak łzy, co mu zmoczyła usta.

Dzień był mroźny, słońce świeciło, kiedy się obudził Sergiusz Piotrowicz. Długo nie rozumiał, dlaczego łóżko rozebrane jak zwykle, a on leży w niem żywy, przecież wczoraj jeszcze powinien był umrzeć. Głowa bolała trochę, i całe ciało było osłabione, jak gdyby je kto mocno zbił. Stopniowo myśl po myśli przypomniał wszystko, co mu przyszło wczoraj do głowy i nie zrozumiał, dlaczego przeraził się tak bardzo, i co strasznego było w tem wszystkiem, o czym on wiedział zawsze i setki razy wyobrażał sobie. Śmierć, pogrzeb, mogiła... No, a jakże może być inaczej, jeżeli człowiek umrze? Naturalnie chowają go i w tym celu kopią mogiłę, a w mogile trup rozkłada się — gnije. I jeszcze raz uważnie i niedowierzająco zapatrzył się we wczorajsze straszne obrazy, dziś były całkiem blade i mętne, i coraz więcej bladły, jak to bywa z sennemi widziadłami, tak jaskrawemi w pierwszej

chwili przebudzenia, a tak prędko i bez śladu ścierającemi się pod wpływem żywych wrażeń rzeczywistości i dnia. W obrazach śmierci nie było nic strasznego, i radość życia zaczęła się wydawać niepojętą i dziką.

I jako rozwiązanie wszystkiego przemknęła myśl, że on, Sergiusz Piotrowicz, tchórz i blagier.

Przypomniał sobie wysłany do Nowikowa list, w którym donosi mu o śmierci, jak o fakcie już dokonanym — i poczerwieniał ze wstydu, poczuł, że postanowienie śmierci trwa w nim takież niezmienne, spokojne i niepokonane jak i wczoraj, kiedy nie poddawał się jeszcze małodusznej i niepojętej obawie. Obawa zniknęła, ale palący wstyd zwlekał z odejściem, i całą siłą zmęczonej duszy Sergiusz Piotrowicz oburzył się przeciw znikającej obawie, tego najwięcej hańbiącego ogniwa w długim i ciężkim łańcuchu niewolnika. Obojętna, ślepa siła, co powołała Sergiusza Piotrowicza z ciemnego łona niebytu,

uczyniła ostatnią próbę zakucia go w kajdany. jak tchórzliwego zbiega — i udało jej się to choć na kilka godzin.

Z nową siłą buchnął palący wstyd i płomień ten spopielił samą pamięć o chwilowym dopływie strachu. I kiedy zgasła jego łuna, zginął i tępy, męczący ból ciało, i wszystko stało się lekkiem, prawie nieistniejącem. Głowa przestała boleć, i mózg począł pracować z szalonym pośpiechem, z taką siłą i jasnością, jaka bywa tylko w gorączce. Usta drżały spragnione mówienia, i na język cisnęły się słowa, jakich nigdy nie używał Sergiusz Piotrowicz i nie znał nawet. Mówił, że jeśli nie umrze teraz, to znienawidzi siebie i będzie musiał wypić taką pełną czarę samopogardy, wobec której trucizna wydaje się nektarem. Jego ja, to niezależne i szlachetne ja, które na chwilę poczuło się zwycięscą i doświadczyło niezmiernej radości przewagi śmiałego ducha nad ślepą i despotyczną materyą, zabije go, jeżeli nie zabije trucizna.

I Sergiuszowi Piotrowiczowi zdawało się, że czuje w sobie potężny wzrost tego »ja«, czuje, jak się ono podnosi do góry, i piorunowe grzmienia jego głosu zabijają nędzny pisk ciała, silnego tylko w nocy. Niech się pochylają ci, którzy chcą, ale on łamie swoją klatkę. I nędzny, tępy, nieszczęśliwy człowiek, w tej chwili przewyższa geniuszów, królów i góry, — przewyższa wszystko, co istnieje wysokiego na ziemi, bo w nim zwycięża najczystsze i najpiękniejsze co jest w świecie — śmiałe, swobodne i nieśmiertelne »ja«!

To, czego doświadczał Sergiusz Piotrowicz podobne było do dumnego i bezładnego majaczenia obłąkanego, jak myśleli niektórzy, czytający trzeci list jego do Nowikowa, z którego przytoczyliśmy wyjątki. Pisał go, nie ubierając się, na kawałku papieru, który, jak później okazało się, był rachunkiem od praczki, i list ten trafił do Nowikowa po długich wędrówkach do policyi i sędziego pokoju. Tu, nie odchodząc od stołu, wypił truciznę, i kiedy

przyszła służąca z samowarem, Sergiusz Piotrowicz był już nieprzytomny. Trucizna była słaba, przygotowana nieumiejętnie, i Sergiusza Piotrowicza zdążyli odwieźć do Ekatieryńskiego szpitala, gdzie umarł dopiero nad wieczorem.

Telegram do matki Sergiusza Piotrowicza spóźnił się — przyjechała już po pogrzebie. Studenci, którzy ją wezwali, mówili, że tak lepiej nawet się stało, bo w trumnie z otwartą czaszką i plamami na twarzy, Sergiusz Piotrowicz był bardzo brzydki i nawet straszny i mógł zrobić ciężkie wrażenie. I wszystko, co zostało jej po synie, zawierało się w książkach i wynoszonem ubraniu, wśród którego był i stary tużurek, rozdarty pod pachami i świeżo naprawiony.

BEN-TOWIT

Tego strasznego dnia, kiedy się stała największa niesprawiedliwość świata, kiedy na Golgocie, pomiędzy zbójcy ukrzyżowany został Jezus Chrystus — tego dnia od rana szalenie rozbolały zęby jerozolimskiego kupca Ben-Towita. Zaczęło się to jeszcze w przeddzień wieczorem: lekkie rwanie w prawej szczęce i ząb — ten ostatni przed zębem mądrości, jak gdyby podniósł się trochę, a kiedy dotknął go język, dawał lekkie wrażenie bólu. Po jedzeniu jednak ból ustał zupełnie, i Ben-Towit zapomniał o nim, — tego dnia korzystnie zamienił swego starego osła na młodego i silnego, więc był wesoły i nie przywiązywał wielkiej wagi do złych przepowiedni.

Spał dobrze i mocno, ale przed wschodem słońca uczuł jakąś dziwną trwogę, jak gdyby ktoś wzywał go w jakiejś bardzo ważnej

sprawie, i gdy się obudził zagniewany — bolały go zęby, bolały już jawnie i zawzięcie, całą pełnią ostrego, świdrującego bólu. I już nie można było zrozumieć, czy boli tylko wczorajszy ząb, czy też dołączyły się do niego inne; całe usta i głowa pełne były okropnego bólu, jak gdyby Ben-Towitowi kazali żuć tysiące rozpalonych do czerwoności, ostrych gwoździ. Wziął do ust wody z glinianego dzbanka, — na chwilę siła bólu zmniejszyła się, zęby drgnęły niby rozkołysane, i to wrażenie było wprost przyjemne w porównaniu z poprzedniem. Ben-Towit położył się znowu, przypomniał sobie nowego osła, pomyślał, jak bardzo czułby się szczęśliwym, gdyby nie te zęby, i chciał zasnąć. Ale woda była ciepła, — w przeciągu pięciu minut ból wrócił z większem jeszcze okrucieństwem niż dotąd, i Ben-Towit znowu siedział na łóżku, kiwając się jak wahadło. Cała skóra na twarzy zmarszczyła się i zebrała koło dużego nosa, a na nosie, bladym z bólu, zastygła kropelka zimnego potu.

Tak kołysząc się i jęcząc z bólu, powitał pierwsze promienie słońca, któremu było przeznaczonem widzieć Golgotę z trzema krzyżami i zagasnąć z przerażenia i smutku.

Ben-Towit był dobrym człowiekiem, nie lubiącym niesprawiedliwości, ale, kiedy się obudziła żona jego, on z wysiłkiem otwierając usta, nagadał jej dużo nieprzyjemnych rzeczy i uskarżał się, że go zostawili samego, jak szakala, wyjącego i zżymającego się w okropnej męce. Żona cierpliwie przyjęła niezasłużone zarzuty, bo wiedziała, że nie ze złego serca idą, i przyniosła dużo dobrych lekarstw: czystego pomiotu mysiego, którym należy okładać twarz, ostrej esencyi skorpionowej i autentyczny kawałek kamienia z rozbitej przez Mojżesza tablicy przykazań. Mysi pomiot pomógł trochę ale nie na długo, tak samo esencya i kamyk, ale za każdym razem po krótkiem polepszeniu ból wracał z nową siłą. I w krótkich chwilach wytchnienia Ben-Towit pocieszał się myślą o osiołku i marzył

o nim; a gdy znowu robiło się gorzej, jęczał, gniewał się na żonę i groził, że rozbije sobie głowę o kamień, jeśli ból nie ustanie. I przez cały czas chodził z kąta w kąt po płaskim dachu swego domu, wstydząc się podejść blizko do zewnętrznego brzegu, bo całą głowę miał obwiązaną chustką jak kobieta. Kilka razy przybiegały doń dzieci i opowiadały coś przerywanymi głosami o Jezusie z Nazaretu. Ben-Towit zatrzymywał się na chwilę, słuchał ich, ściągnąwszy skórę na twarzy, ale potem gniewnie tupał nogą i przepędzał: był dobrym człowiekiem i kochał dzieci, ale teraz gniewał się, że przychodzą do niego z takiem głupstwem.

Przykrem było i to, że na ulicy i na poblizkich dachach zebrało się dużo ludzi, któżrzy nic nie robili i ciekawie patrzyli na Ben-Towita, okręconego chustką jak kobieta. I chciał już zejść na dół, kiedy żona powiedziała mu:

— Spojrzyj, oto prowadzą zbójców. Może cię to rozerwie.

— Daj spokój, na Boga. Czyż nie widzisz, jak bardzo cierpię? — odpowiedział podrażniony Ben-Towit. — Ale w słowach żony brzmiała niepewna obietnica, że ból może ustać, więc mimowoli podszedł do poręczy. Pochylając głowę na bok i przymykając jedno oko, podparł ręką chory policzek i z pogardliwie płaczącym wyrazem twarzy patrzał na dół.

Po wązkiej uliczce, podnoszącej się w górę, w nieładzie posuwał się ogromny tłum, owiany kurzem i niemilknącym krzykiem. W pośrodku, pochyleni pod ciężarem krzyżów, szli przestępcy, a nad nimi zwijały się jak czarne węże bicze rzymskich żołnierzy. Jeden z nich,— ten z długimi jasnymi włosami, w rozdartym, skrwawionym chitonie, potknął się na rzucony pod nogi kamień i upadł. Krzyki stały się głośniejsze, i tłum, niby różnokolorowa woda morska, zwarł się nad padającym. Ben-Towit drgnął nagle z bólu, — zdawało się, że w ząb wetknął ktoś rozpaloną igłę i pokręcił ją; Ben-Towit jęknął: u-u-u — i od-

szedł od poręczy, pogardliwie obojętny i zły.

— Jak oni krzyczą! powiedział z zazdrością, wyobrażając sobie szeroko rozwarte usta z mocnymi niebolącymi zębami, i to jak krzyczałby sam gdyby był zdrów. I od tej myśli ból wzmógł się tak bardzo, że począł prędko kręcić owiniętą głowę i ryczeć m-u-u.

— Opowiadają, że On uzdrawia ślepych,— powiedziała żona, stając na samym brzegu dachu i rzucając kamyczek w tym kierunku, skąd powoli dźwigał się podniesiony biczami Jezus.

— Naturalnie! Niech no uzdrowi mój ból zębów, — ironicznie odpowiedział Ben-Towit i podrażniony dodał z goryczą: Jaki kurz robią! zupełnie jak stado? Należałoby ich wszystkich rozpędzić kijami! Odprowadź mię na dół, Saro!

Żona miała racyę: widowisko rozerwało trochę Ben-Towita, albo może to pomógł wreszcie pomiot mysi, bo udało mu się nareszcie

usnąć. A gdy się przebudził, ból zniknął prawie zupełnie, i tylko na prawej szczęce zjawił się mały guzik fluksyi, tak mały, że go ledwie można było zauważyć. Żona mówiła, że zupełnie nie znać, ale Ben-Towit uśmiechał się znacząco: wiedział jaką dobrą ma żonę, lubiącą zawsze powiedzieć coś przyjemnego.

Przyszedł sąsiad, garbarz Samuel, i Ben-Towit poprowadził go do nowego osiołka i z dumą wysłuchał pochwały dla siebie i zwierzęcia.

Potem, stosując się do próśb ciekawej Sary, wszyscy troje poszli na Golgotę popatrzeć na ukrzyżowanych. Po drodze Ben-Towit opowiadał Samuelowi od samego początku, jak wczoraj poczuł darcie w prawej szczęce i jak potem w nocy obudził go straszny ból. Żeby było dokładniej i obrazowo robił cierpiącą twarz, zamykał oczy, kręcił głową i jęczał, a siwobrody Samuel współczująco kiwał i mówił:

— Aj-aj-aj! — Jak boli!

Ben-Towitowi podobała się zachęta, więc powtórzył opowiadanie, a potem sięgnął wspomnieniem tych czasów, kiedy mu się zepsuł tylko jeden pierwszy ząb — w dole, z lewej strony. W tak ożywionej rozmowie przyszli na Golgotę. Słońce, skazane na to, by przyświecało ziemi w ten straszny dzień, zaszło już za dalekie wzgórza i na zachodzie paliło się jak krwawy ślad wązkim, purpurowym pasem.

Na tem tle niewyraźnie ciemniały krzyże, i u stóp środkowego niejasno bielały jakieś klęczące postacie.

Tłumy rozeszły się dawno; robiło się zimno i, przelotnie spojrzawszy na ukrzyżowanych, Ben-Towit wziął Samuela pod rękę i ostrożnie zawrócił go do domu. Poczuł się bardzo wymownym i chciał dokończyć opowiadanie o bólu zębów. Tak wracali, i Ben-Towit przy współczujących skinieniach i wykrzyknikach Samuela robił cierpiącą twarz,

kręcił głową i jęczał sztucznie, — a z głębokich wąwozów, z dalekich opalonych równin podnosiła się czarna noc. Jak gdyby chciała ukryć od spojrzeń nieba wielką zbrodnię ziemi.

MARSYLIANKA

To była nicość: dusza zająca i bezwstydna cierpliwość roboczego wołu. Kiedy los, drwiąc złośliwie, rzucił go w nasze czarne szeregi, śmieliśmy się jak waryaci: bywają przecież takie śmieszne, takie niemożliwe pomyłki. A on — naturalnie płakał. Nie spotykałem nigdy człowieka, posiadającego taką mnogość łez, płynących tak chętnie z oczu, z nosa, z ust. Niby gąbka, nasiąkła wodą i ściśnięta w pięści. W naszych szeregach widziałem też płaczących mężczyzn, ale ich łzy były ogniem, przed którym uciekały dzikie zwierzęta. Te łzy męskie postarzały twarz i odmładzały oczy: jak lawa, wybuchająca z rozżarzonych głębin ziemi, wypalały niezatarte ślady i grzebały pod sobą całe miasta nikczemnych pragnień i drobnych trosk. A temu, kiedy płakał,

czerwienił się tylko nosek i wilgotniała chusteczka. Prawdopodobnie suszył ją potem na sznureczku, bo skądby wziął tyle chustek?

I przez wszystkie dnie wygnania ciągał się do przełożonych — do wszystkich przełożonych, jacy tylko byli i jakich mógł wymyśleć, kłaniał się, płakał, przysięgał, że nie winien, błagał o zlitowanie nad jego młodością, obiecał nigdy, przez życie całe nie otwierać ust inaczej, jak tylko dla próśb i błogosławieństwa. A tamci śmiali się z niego, jak i my i nazywali go: »małą, nieszczęśliwą świnią« i krzyczeli:

— Hej ty, mała świnia!

A on posłusznie biegł na to wołanie; za każdym razem myślał, że usłyszy wiadomość o powrocie do ojczyzny, a oni żartowali tylko. Wiedzieli tak samo jak i my, że jest niewinnym, ale jego męczarnią chcieli zatrwożyć inne małe świnie, — jak gdyby one i tak nie były aż nadto tchórzliwe!

Przychodził do nas gnany zwierzęcym strachem samotności, ale srogie i zamknięte były nasze twarze i daremnie szukał klucza. Zapominając się, nazywał nas kochanymi kolegami i przyjaciółmi, a myśmy kiwali głowami i mówili:

— Uważaj! mogą cię usłyszeć.

I on pozwalał sobie oglądać się na drzwi, ta mała świnia!

No, czyż można było zachować powagę! I myśmy się śmiali głosami nienawykłymi do śmiechu, a on zachęcony tem i pocieszony, przysuwał się bliżej i opowiadał, i płakał, wspominając swe ukochane książeczki, co zostały na biurku, swą mamusię i braciszków, o których nie wie czy żyją, czy umarli ze strachu i tęsknoty.

Przy końcu zaczęliśmy go wypędzać.

Kiedy się zaczęło głodowanie, ogarnęło go przerażenie — niesłychanie zabawne przerażenie. Przecież on lubił dobrze zjeść — biedna świnia, i okropnie bał się miłych towarzyszy,

i okropnie bał się przełożonych: zmieszany przesuwał się koło nas i wycierał chustką czoło, na którem skropliło się coś — łzy albo pot. I nieśmiało zapytał mnie:

— Czy długo będziecie wytrzymywali ten głód?

— Długo — odpowiedziałem srogo.

— A potajemnie nie będziecie nic jedli?

— Mamusie będą nam przysyłały pierożki — potwierdziłem poważnie.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, pokiwał głową i westchnąwszy poszedł. A na drugi dzień oznajmił zielony ze strachu jak papuga:

— Kochani towarzysze! Będę głodował z wami.

Odpowiedź była:

— Możesz to sobie zrobić sam.

I głodował. Nie wierzyliśmy mu, jak i wy nie wierzycie teraz, myśleliśmy, że je coś potajemnie, i tak samo myśleli dozorcy. Kiedy przy końcu głodowania zachorował na tyfus,

wzruszyliśmy tylko ramionami: biedna, mała świnia! Ale jeden z nas, — ten, który się nigdy nie śmiał, powiedział ponuro:

— Jest towarzyszem naszej niedoli. — Chodźmy do niego.

Majaczył, i litości godnem, jak całe życie jego, było to majaczenie bez związku. O swych ulubionych książeczkach mówił, o mamusi i braciszkach, i prosił o zimne pierożki, zimne jak lód i smaczne, i przysięgał, że nie winien, i błagał o przebaczenie. I wzywał ojczyznę, wzywał kochaną Francyę — o, niech będzie przeklęte słabe serce ludzkie! Duszę rozdzierał tem wołaniem: kochana Francya!

Wszyscy byliśmy w pawilonie, kiedy umierał. Przytomność wróciła przed śmiercią i leżał cicho, jak dziecko, taki malutki, słaby; cicho staliśmy wkoło, jego towarzysze i usłyszeliśmy wszyscy — wszyscy co do jednego, jak mówił:

— Gdy będę umierał, śpiewajcie »Marsyliankę«.

— Co mówisz? — zawołaliśmy, drżąc z radości i zbliżającego się gniewu.

Powtórzył:

— Gdy umrę, śpiewajcie »Marsyliankę«.

I pierwszy raz zdarzyło się, że miał suche oczy, a my — myśmy płakali, płakali wszyscy co do jednego, i jak ogień, przed którym uciekają dzikie zwierzęta, gorzały nasze łzy.

Umarł i śpiewaliśmy przy zwłokach jego »Marsyliankę«. Młodymi, silnymi głosami śpiewaliśmy wielki hymn wolności, i groźnie wtórował nam ocean, bo na grzbietach swych fal niósł do miłej Francyi blade przerażenie i krwawo-czerwoną nadzieję. I na zawsze stał się naszym sztandarem, ta nicość z ciałem zająca i roboczego wołu — z wielką duszą człowieka! Na kolana przed bohaterem, towarzysze i przyjaciele!

Śpiewaliśmy. Patrzyły na nas fuzye, złowrogo brzęczały odciągane kurki i ostre żądła bagnetów grożąc ciągnęły się ku ser-

com naszym, i coraz głośniej, coraz możniej brzmiał potężny śpiew. W delikatnych ramionach bojowników spokojnie kołysała się czarna trumna.

Śpiewaliśmy »Marsyliankę«.

SPIS RZECZY.